

Wspomnienia *z więzienia*

„ A żaden z was niech nie cierpi jako mężobójca, albo złodziej, albo złoczyńca, albo jako w cudzy urząd się wtrącający. Lecz **jeśli cierpi jako chrześcijanin, niech się nie wstydzi, owszem niech chwali Boga w tej mierze ”**

~ 1 list Piotra 4:15-16

SZPUNAR JERZY – ŻOŁĘDOWO – Rok 2009

Wstęp

Zgodnie z zacytowanym ustępem, na szczęście, moje pozbawienie wolności nie wynikało, z którychkolwiek w tym ustępie wymienionych przestępstw. I chociaż okoliczności, warunki i sytuacje jakie były mi dane przeżyć nie należały do przyjemnych, to z drugiej strony, również zgodnie z wyżej wspomnianym wierszem 16, jako chrześcijanin, nie mam powodu się wstydić. Rozumiejąc, że jeżeli Bóg w swej opatrności zamierzył przez takie doświadczenia mnie wypróbować, to mogłem i w tamtym czasie, jaki i teraz „chwalić Boga w tej mierze”.

Zanim wejść w szczegóły tego odcinka mojego życia chyba powinienem wprowadzić czytelnika w temat. Otóż moje pozbawienie wolności związane było ze służbą wojskową. Kiedy zostałem powołany do wojska, odmówiłem przyjęcia broni, za co zostałem skazany na pięć lat pozbawienia wolności. To był po prostu wymóg czasu. Taki był ustrój, takie obowiązywało prawo i taka była nasza chrześcijańska postawa. W tych warunkach i okolicznościach nie mogłem, nie chciałem i po prostu nie byłem w stanie postąpić inaczej, choćby nawet dla dobrego przykładu dla drugich braci. Innym jeszcze motywem do przyjęcia takiej postawy było też to, że trzy lata wcześniej, w roku 47, przyjąłem symbol chrztu na konwencji w Poznaniu, w Warcie i jak Apostoł mówi: „przed wieloma świadkami”. Miałem wtedy siedemnaście lat, moja wiara i gorliwość zaczęły świadomie dojrzewać, nabierać realnych kształtów. Dlatego kiedy stanąłem oko w oko z wyżej wspomnianymi doświadczeniami, nie było odwrotu. Przyjęte zobowiązania przed wieloma braćmi, nieodparty głos sumienia, wprost zmusiły wolę do podjęcia takiej a nie innej decyzji. Oczywiście nie odbyło się to bez wewnętrznej walki. Przecież byłem młody, zdrowy, świat był przede mną otwarty,

jak można było tak świadomie, dobrowolnie zamknąć sobie drogę. Jednak tak, jak Apostoł pisze: „to, co zwycięża świat, to jest wiara wasza”, wiara zwyciężyła.

I tak, aby być „wolnym w Chrystusie”, zostałem chwilowo pozbawiony wolności doczesnej. Myślę, że po takim wprowadzeniu mogę zająć się szczegółami.

Wspomnienia: Jak do tego doszło

Zanim jednak do tego dojdę, muszę wskazać jeszcze na jeden aspekt tej sprawy, to jest na sposób Boskiego postępowania w takich przypadkach. Zawsze byłem przekonany, że to Bóg dozwalał na różne moje doświadczenia, że je dozował i dozorował. Miałem niepodważalne tego dowody, które chcę na wstępie podać, chociażby jako lekcję dla innych poświęconych będących w doświadczeniach.

Otóż, przywołując wspomnienia sprzed prawie sześćdziesięciu lat, muszę stwierdzić z jeszcze większą dozą świadomości i oceny, że ja nie wskoczyłem w ten piec doświadczeń od tak sobie od razu. Byłem, że tak powiem, przez Pana dobrze do tego przygotowany. W jaki sposób, to mi zajmie trochę czasu i papieru.

Zanim doszło do tego dłuższego pozbawienia wolności, byłem dwukrotnie aresztowany. Oczywiście nie były to zatrzymania za jakieś typowe przestępstwa, ale również związane z działalnością religijną. Z obserwacji życiowych wydarzeń poświęconych jednostek wynika, że chociaż poświęcenie jest jakby zupełnie oddzielnym założeniem i przede wszystkim dotyczy naszego charakteru, usposobienia, to jednak jego realizacja odbywa się bezpośrednio w naszej codzienności. Dlatego często trudno jest zauważyć kiedy Boska opatrność wykorzysta nasze naturalne, doczesne sprawy dla celów naszego poświęcenia. Tak też było i w moim przypadku. Może krótko opiszę

okoliczności mojego pierwszego zetknięcia się z prawdziwym, naprawdę ciężkim więzieniem. Na szczęście na bardzo krótko.

Moja codzienność polegała wyłącznie na pracy w gospodarstwie rolnych wraz z rodzicami i młodszym bratem Waclawem. Gospodarstwo było nieduże, więc i pracy było nie za wiele zważywszy, że zdrowych rąk do pracy było sporo. Rodzice byli jeszcze w pełni sił, ja już byłem prawie dorosły, brat Waclaw choć był 5 lat młodszy ode mnie, był jednak wysokim, krępyim chłopakiem, też dobrze już sobie radził z różnymi pracami. Kiedy w 46 roku ukończyłem kurs samochodowy, bardzo mnie interesowała mechanika. Krótko po wyzwoleniu pojawiło się dużo różnych narzędzi rolniczych sprowadzonych z Niemiec, różnego typu silników itd. Dzięki mojemu zainteresowaniu i sporej wiedzy na temat silników, okazyjnie kupiliśmy mały silnik spalinowy na benzynę. Udało mi się zmontować mały agregacik omlotowy, który pozwolił mi sezonowo zarobić ładne pieniądze. Mechanizacja rolnictwa tak ruszyła do przodu, że i ja nie chciałem pozostać w tyle. Zebraliśmy z rodzicami sporą sumę pieniędzy i postanowiliśmy kupić duży silnik spalinowy na olej napędowy, stworzyć duży agregat omlotowy, żeby zaspokoić duże zapotrzebowania na takie usługi.

Nasze gniazdo rodzinne znajdowało się we wsi Jarczów koło Tomaszowa Lubelskiego, województwo Lubelskie. Na trasie Hrubieszów-Chełm znajdowała się prawie w połowie drogi, duża wieś nazywała się „Żmudź”, często wspominana w historycznych powieściach. W tej wsi mieszkali moi kuzynowie ze strony mojej mamy. Brat mamy był dobrze obznajomiony z prawdą, był po symbolu. Był on poważnie chory i w niezbyt podeszłym wieku zmarł. Pozostawił żonę, trzy córki i syna. Pozostała po nim rodzina, choć dobrze znała prawdę, to ducha prawdy nie było za bardzo w nich widać. Utrzymywaliśmy jednak dość bliską więź rodzinną, a nawet często byli

dość aktywni w głoszeniu prawdy, ale w połączeniu tego ze światowym życiem nie przynosiło to żadnych dobrych rezultatów. Za pośrednictwem tej rodziny dowiedziałem się, że w tej wiosce pewien młynarz ma do sprzedania odpowiadający mi silnik nie za wygórowaną cenę. Tak więc będąc dobrej myśli wziąłem pieniądze i pojechałem do Żmudzi do kuzynów. Ani w domu zbierając się do podróży, ani w podróży nie przyszło mi nawet na myśl, że mogę przy okazji wpaść w jakąś pułapkę. A jednak Boska opatrność dozwoliła na pewną pułapkę, która przy użyciu codzienności mogła dokonać bardzo cennego dzieła użytecznego w przyszłości w moim poświęceniu.

Kiedy przyjechałem do kuzynów, a był to okres jakiegoś wolnego czasu, że mogłem zatrzymać się u kuzynów przez kilka dni. W tej wsi, jak i w ogóle w okolicy, było wiele rodzin Świadków. Było dużo młodzieży u Świadków, moja rodzina dobrze znała się z tymi Świadkami. Toteż całymi wieczorami, a często do późnych godzin nocnych dyskutowaliśmy na tematy prawdy. Zapoznałem się z wieloma osobami, bardzo się zaangażowałem w te rozmowy, wyobrażałem sobie, że gdyby się udało przekonać niektórych, to byłoby cudownie, gdyby tam powstał nasz zbor. Przewożyłem tak cały tydzień. W niedzielę poszliśmy na zebranie do Świadków. Cała ferajna, ja z kuzynostwem, oprócz tego jeszcze dwie siostry, które były dobrze zapoznane z prawdą jeszcze z czasów mojego wujka. Przełożeni zboru byli trochę zaskoczeni, że tyle osób przyszło. Poza mną, wszyscy byli im znani, ale nie byli na tyle aktywni, żeby stanowili jakieś zagrożenie dla Świadków. Po zebraniu padło kilka pytań z naszej strony, wyłoniła się dyskusja, padło z obu stron kilka ostrych słów czy zdań i zakończyło się na tym, że przełożeni zboru kategorycznie zabronili swoim członkom jakichkolwiek rozmów z nami. Przedstawiając nas jako kandydatów „wtórej śmierci”. I tak skończyły się nasze oficjalne spotkania. Spotykałem się jeszcze z niektórymi

osobami, ale już pojedynczo, żeby jedno o drugim nie wiedziało, obawiając się wyłączenia.

Po tej gorącej niedzieli u Świadków kuzyn zaproponował, że tu w Żmudzi jest kilka osób, które lubią posłuchać tematów religijnych, a nie zgadzają się ze Świadkami. I że on by ich zaprosił na wieczór, na taką religijną pogawędkę. Spotkanie zostało zorganizowane. Dziewczyny (kuzynki) zawiadomiły kilka osób, kuzyn (miał na imię Teofil) zaprosił też dwóch swoich kolegów nie wiedząc albo nie zdając sobie sprawy, że obaj ci koledzy byli tajnymi pracownikami milicji. Tu był klucz do pułapki, w jaką wpadłem. Oczywiście spotkanie odbyło się bardzo przyjemnie, dziewczyny poszukały śpiewniki, ja miałem też swój, zaśpiewaliśmy kilka pieśni, gdyż dziewczyny dobrze znały wiele pieśni i ładnie śpiewały. W rozmowie padło pytanie, dlaczego Bóg dozwala na takie straszne zło i w odpowiedzi na nie powiedziałem, że tak powiem, dość długi wykład. Wszyscy z ciekawością słuchali, tylko ci dwaj koledzy kuzyna z dość cynicznym uśmiechem półgłosem wyrażali swoje myśli. W pewnym momencie poprosiłem ich, że jeżeli ich te sprawy nie interesują, to niech jednak nie przeszkadzają innym posłuchać. Zauważyłem, że poczuli się trochę dotknięci, ale się uspokoili. Na koniec spotkania ktoś zasugerował, żeby zakończyć modlitwą, pomodliłem się. Ktoś jeszcze zaproponował pieśń, odśpiewaliśmy i w końcu rozdałem kilka ulotek o różnej treści. Między innymi miałem ulotkę wydaną przez braci Wolnych, nie pamiętam dokładnie tytułu, w każdym razie dotyczącą ucisku i zbliżającego się Królestwa Bożego. Ci dwaj „panowie” też poprosili o ulotki po jednej ze wszystkich tytułów. Ze wspomnianą o Królestwie włącznie. Nie wiedząc kim „panowie” są, byłem zaskoczony ich zainteresowaniem tymi ulotkami. Niestety, zaraz na drugi dzień, „wyszło szydło z worka”.

Koło południa obaj z kuzynem byliśmy zajęci w kuchni przy remoncie pieca kuchennego. Nagle

z wielkim łomotem otworzyły się drzwi i weszło dwóch mężczyzn z karabinami w cywilnych ubraniach, ale z opaską na rękawach i napisem „Milicja”. Jeden z nich wymierzył karabin do mnie i krzyknął: „Ręce do góry!”, podniosłem ręce. Kuzyn znał jednego z nich i powiedział: „Przestańcie się wygłupiać, co wy to robicie?”, ale ten odpowiedział: „Teofil, nie ma żartów, mamy rozkaz komendanta obu was aresztować, nie opieraj się tylko idziemy na posterunek”. Byłem tylko w koszuli, na spodniach miałem jakiś fartuch, więc powiedziałem: „Dobrze, ale muszę zrzucić fartuch i ubrać się”. Milicjant opuścił karabin, kazał opuścić ręce i powiedział: „Dobrze, ubieraj się szybko, tylko bez żadnych sztuczek, bo będę strzelał”. Obok w szafie wysiała moja marynarka, a w niej zaagrafkowane 60 tysięcy złotych, w tym czasie to były duże pieniądze. W pierwszej chwili nie wiedziałem co zrobić, nie było czasu do namysłu, więc ubrałem marynarkę, czapkę. Teofil też coś wrzucił na siebie i poszliśmy na posterunek. Na posterunku oczywiście pierwsza czynność to rewizja. Dokumenty i wszystko, co miałem przy sobie, do chusteczki do nosa włącznie. Najważniejsze jednak były te nieszczęsne pieniądze. Młody chłopak, tyle pieniędzy i w dodatku głosi jakąś nową religię. Stąd też pierwsze pytanie: „To ile płacicie za przystąpienie jednej osoby do waszej sekty?”. Nie miałem szansy żadnego tłumaczenia się. Kiedy powiedziałem, że przecież ja nikogo nie werbuje do żadnej sekty, komendant krzyknął: „Jak to nie?! A to, to co?” – wskazując ręką na stół, na którym leżały wszystkie ulotki, które wzięli dwaj „panowie” podczas wczorajszego spotkania. Wtedy dopiero zrozumiałem w czym rzecz. Komendant dalej krzyczał: „Nie dość, że głosicie jakąś herezję, to jeszcze nawołujecie do wojny!” – pokazał mi tę ulotkę od Wolnych, na której było podkreślone czerwonym ołówkiem, takie oto zdanie: „świat w tej chwili jest jak wielka beczka prochu – która w każdej chwili może wybuchnąć i znowu sprowadzić wielką tragedię”.

Nigdy mi na myśl nie przyszło, że to zdanie może stanowić dla mnie taką wpadkę. Właściwie to ich zachowanie wcale nie powinno dziwić, gdyż był to moment, w którym „władza ludowa” dopiero zaczynała się umacniać po wyzwoleniu, natomiast Armia Krajowa z poparciem zachodu, starała się za wszelką cenę zdyskredytować obecną władzę. Toteż nic dziwnego, że ludzie choć legalnie sprawowali władzę, bali się nawet własnego cienia. Dlatego każde słowo, każdy najmniejszy ruch wypływający z zachodu widzieli jako zagrożenie przeciwko sobie. Ta ulotka była właśnie najnowszą ulotką przyslaną z zachodu i dlatego była taka ostra reakcja. Po przeliczeniu pieniędzy przy świadkach podpisałem protokół ile pieniędzy zdałem do depozytu, świadkowie też podpisali i nas obydwo zamknęli w areszcie. Późno wieczór przyszedł milicjant i kuzyna zwolnił, a ja zostałem. Pomieszczenie, w którym się znalazłem było bardzo nieprzyjemne. Była to mała klatka w suterynach, cztery ściany, drzwi tylko żelazna krata, żadnego sprzętu do siedzenia czy leżenia. Malutkie okienko bez szyby, całkiem zgodnie z takim powiedzeniem „chłodno, głodno i do domu daleko”. Wcale mi nie było do śmiechu, ale kiedy sobie przypomniałem, że Apostoł Piotr, do tego jeszcze miał nogi zamknięte w kłody, a na rękach łańcuchy, to pomyślałem sobie, że tu jeszcze nie tak źle. I chociaż nie spodziewałem się, że przyjdzie Anioł i wyprowadzi mnie stąd, wierzyłem jednak, że jakieś wyjście z tego będzie.

Rano przyszedł milicjant i już z daleko ironicznie zawołał: „Jak tam sekta żyje?” i wyprowadził mnie na posterunek. Przyszła też kuzynka, przyniosła mi śniadanie, gdyż jak kuzyna uwolnili to powiedzieli mi, żeby mi przynieśli śniadanie i trochę suchego prowiantu. Pozwolono mi spokojnie zjeść śniadanie i porozmawiać z kuzynką. Kuzynka przyniosła też trochę chleba i wędzonego boczku, a to świadczyło o tym, że tak szybko mnie nie zwolnią. Przy pożegnaniu kuzynka zaczęła bardzo płakać, a komendant powiedział:

„Nie płacz, nic mu się nie stanie, ale będzie miał nauczkę”. Po odejściu kuzynki dodał: „Pojedziesz do Chełma na komendę powiatową, oni zadecydują co dalej”. Po chwili przyszedł facet z kajdankami, ale komendant powiedział: „Nie trzeba kajdanek, on nie będzie uciekał, pojedziecie jakby nigdy nic”. Mimo woli zauważyłem, że mój konwojent ma za pazuchą pistolet, a on sam był małomówny i jakiś bardzo spięty. Poszliśmy do autobusu. Po drodze konwojent odezwał się do mnie: „Pamiętaj, że jesteś aresztowany i choć jedziesz jak wolny, to bez żadnych sztuczek, bo może się to źle skończyć”. Zapewniłem go, że nie jestem bandytą i nie mam ani takiej potrzeby, ani zamiaru nic kombinować, niech będzie o to spokojny. Oczywiście mój depozyt miał ze sobą. W Chełmie konwojent zdał mnie razem z depozytem, pokwitowali mu odbiór i odszedł. Dyżurny, który mnie przyjął, przeczytał raport aresztowania, protokół, spojrzał na mnie, pokręcił głową, uśmiechnął się sam do siebie i burknął półgłosem też sam do siebie: „No dobrze, chce tak, niech będzie tak”. Nie wiem pod czyim adresem to powiedział. Kazał zamknąć mnie w takim podręcznym areszcie. Nie miałem żadnego przesłuchania. Po kilku godzinach zjawił się milicjant, w mundurze i powiedział: „No, idziemy”. Zapytał czy wszystko wzięłem ze sobą. Wyszliśmy z budynku komendy. Zapytałem go: „Dokąd idziemy?”. „Do pociągu” – odparł – „I jedziemy do Lublina”. Byłem bardzo zaskoczony toteż po prostu, mimowolnie, powiedziałem: „Po co to wszystko, to nie mogli tu zdecydować, albo mnie wypuścić, albo zamknąć?”. Dopiero on wyjaśnił mi, że mam być odtransportowany do domu, ale na taką odległość konwojenta musi dać wojewódzka komenda. To mnie trochę uspokoiło i po przyjeździe do Lublina byłem przekonany, że pójdzie do wojewódzkiej komendy. Nie znałem Lublina, żeby się zorientować dokąd idziemy, szedłem z konwojentem, a on wiedział dokąd mamy iść. Doszliśmy wreszcie do jakiegoś dziwnego budynku, a raczej zabudowań

murów. Podeszliśmy pod żelazną bramę, konwojent zastukał do okienka, ktoś otworzył okienko, konwojent podał zlecenie, po chwili otworzono bramę. Wpuszczono nas do środka na dyżurkę. Milicjant zdał depozyt i podobna historia. Dyżurny czytając raport ze Żmudzi, roześmiał się i pokręcił głową, i powiedział: „Dobrze chłopaki, zaprowadźcie go na górę, pod taki tam numer pokoju”. Podeszło dwóch strażników w mundurach Straży Więziennej, co było dla mnie wielkim zdziwieniem. Zaprowadzili mnie pod wskazane miejsce. Weszliśmy do pokoju, za biurkiem siedział mężczyzna w wieku około pięćdziesiątki. Na widok dwóch strażników i mnie, podniósł bardzo bystre spojrzenie i zapytał: „Co tam znowu?”. Kiedy jednak spojrzał na mnie, jego spojrzenie złagodniało i wywarł na mnie dobre wrażenie. Zdawałem sobie sprawę, że ludzie w tej służbie posiadają na zawołanie wszystkie zalety i wady, i okazują te i wtedy, kiedy i jaka sytuacja wymaga. Przeczytał protokół ze Żmudzi i inne dokumenty, i zdenerwował się. Zwrócił się do mnie i powiedział: „Po co oni Ciebie tu przysłali? Tu jest najcięższe więzienie w Lublinie – ‘Baszta’. Mamy tu areszt śledczy, ale nie w takich sprawach. Tu siedzą ludzie z dużymi wyrokami, a oni mi podsyłają ludzi z takimi głupotami.” Zapytał mnie czy siedziałem już w więzieniu. Odpowiedziałem, że nie. Więc on mówi mi tak: „Dam Cię w tej chwili na dość dużą celę. Tam siedzi kilkanaście osób. Są to poważni ludzie, jest tam dwóch ludzi innego pokroju, na nich nie zwracaj uwagi. Raczej wystrzegaj się ich. Reszta jest dobrze zdyscyplinowana, bardzo dbają o porządek, mają swój regulamin, musisz się z nim zapoznać, być im posłusznym i tu Ci będzie najlepiej, jak Ci przyjdzie kilka dni posiedzieć”. Pouczył jak się mam zameldować, żeby wywrzeć dobre wrażenie, to i odzew będzie dobry. W pokoju byliśmy sami i nieco niższym głosem jeszcze dodał: „Tylko nie mów do nich obywatelu, tylko panie”. Trudno mi zrozumieć, jakimi uczuciami kierował się ten człowiek, że poświęcił mi tyle czasu, uświadamiając

mnie. Bardzo serdecznie podziękowałem mu za rady. Zawołał strażnika i kazał mnie zaprowadzić pod wskazaną celę. Strażnik otworzył celę, lekko mnie popchnął i powiedział: „Macie nowego”. Na środku celi stał komendant, tak przynajmniej przypuszczałem, ale nie byłem tego pewny, więc śmiało zapytałem: „Czy to pan komendant celi?” wskazując lekko ręką, nie będąc pewny, czy go to nie urazi. On ściągnął nogi na baczność, mówiąc pewnym głosem: „Tak, jestem komendantem na sali”. Natychmiast też ściągnąłem nogi i zameldowałem się zgodnie z pouczeniem. „Panie komendancie, aresztowany Szpunar Jerzy, melduje swoje przybycie. Jestem do Pańskiej dyspozycji”. Kazał spocząć i sam też rozluźnił się i powiedział: „Widzę, że znasz zwyczaje więzienne, to chyba nie pierwszy raz?”. „Pierwszy raz” – odpowiedziałem – „ale dużo słyszałem i czytałem na ten temat”. Pierwsze zdjąłem buty, bo zauważyłem tam, że podłoga jest idealnie czysta i że kilku więźniów jest w bockach, a niektórzy w skarpetach. To mu się spodobało i wyraził to słowami: „To mi się podoba”. Poczulem się dość swobodnie, dziękując w duchu temu, który poinformował mnie, jak się mam zachować. Cella była dość duża, pod całą jedną ścianą była jednolita prycza drewniana z desek, też czysto utrzymana. Na tej pryczy spali prawie wszyscy lokatorzy tej celi. Tylko dwóch starszych mężczyzn miało osobną dwuosobową pryczę w kącie pod inną ścianą. Oni też, jako jedyni, mieli pościel. Byli inaczej traktowani. Nie będę opisywał szczegółów mojego pobytu na ‘Baszcie’. Wiedząc, że mam być odwieziony do domu i wiedząc, że osadzili mnie w ciężkim więzieniu i już przeszło tydzień mnie tu trzymają, doszedłem do wniosku, że to jest to, co powiedział komendant w Żmudzi do kuzynki: „Nic mu się nie stanie, ale będzie miał nauczkę”. Po prostu chcąc mnie dobrze nastraszyć i z tą myślą czekałem co dalej. To powiedzenie, że „będę miał nauczkę” było jak najbardziej trafne. Nie tylko,

że miałem nauczkę, ale miałem porządną lekcję, która miała mi służyć w przyszłości.

Wreszcie, któregoś dnia, strażnik otworzył drzwi dość wcześnie rano, wywołał mnie, kazał wszystko zabrać ze sobą, co świadczyło o tym, że już tu nie wrócę. Powiedziałem: „Czołem panowie!” i wyszedłem. Pierwsze weszliśmy do biura, gdzie siedział za biurkiem ten sam mężczyzna, który mnie przyjmował i pouczał jak się mam zachować. Na mój widok mruknął pod nosem: „No, nareszcie”. Kazał mi podpisać takie oświadczenie, że w czasie mojego pobytu wszystko było w porządku, że nie wnoszę żadnych skarg. Podpisałem, a on wtedy zapytał: „A jak było naprawdę?”. „Całkiem dobrze” – odpowiedziałem, uśmiechnął się i dodał: „Tylko mi tu nie wracaj”. Zeszliśmy ze strażnikiem do bramy, tam czekał już milicjant, miał mój depozyt i suchy prowiant na drogę i poszliśmy do pociągu. Wsiadliśmy do pociągu jadącego do Bełżca i wieczorem byliśmy w Bełżcu. Autobusem mieliśmy jechać jeszcze dziesięć kilometrów do Tomaszowa Lubelskiego na komendę powiatową. Ten konwojent był niewiele starszy ode mnie. W podróży dużo rozmawialiśmy, opowiedziałem mu całą historię mojego zatrzymania, więc wiedział, że to nic groźnego, toteż nie traktował mnie jak aresztanta. Czuł się tylko odpowiedzialnym konwojentem. Mieliśmy dość długo czekać na autobus. Idąc na przystanek, tak niechcący naumyślnie odezwałem się, że tak nie mam ochoty teraz wieczór jechać na komendę, znowu spać w areszcie, niewiadomo w jakim środowisku. A on odparł: „Myślisz, że mi się chce? Też muszę przenocować w jakiejś milicyjnej noclegowni, też mi się nie uśmiecha, ale co mamy zrobić?”. Powiedziałem mu, że mam pewną propozycję. Niedaleko stąd mieszkają moi krewni, oni nas chętnie przenocują, to są bardzo dobrzy ludzie, jak się Pan na to zgodzi. Wyśpimy się po ludzku i rano pojedziemy na komendę. Pomyślał chwilę i powiedział: „Nieźła myśl, ale trochę się boję”. Uspokoilem go, że

to są ludzie tego pokroju co ja i nie będzie żadnego problemu – „Co za różnica kiedy zejdziemy na komendę, a dla nas to bardzo duża różnica”. Znowu chwilę się zastanowił i dodał: „Dobra, zaryzykuję bo ci wierzę. Chodźmy!”. I poszliśmy do braterstwa Obirków, to było około półtora kilometra. Podeszliśmy do podwórka, podwórko było ogrodzone płotem. Furtka była zamknięta, ale ja wiedziałem, że ona jest zamykana od wewnątrz na zasuwkę, więc włożyłem rękę między sztachety, odsunąłem zasuwkę i weszliśmy na podwórko. On się zdziwił mówiąc: „Widzę, że Ty czujesz się tu jak u siebie”, „Tak” – odparłem. Podeszliśmy do drzwi, delikatnie zapukałem, żeby ich nie wystraszyć, otworzył brat Obirek. Jak mnie zobaczył to wprost krzyknął: „Co Ty tu robisz o tej porze?”. Odezwałem się, że bardzo przepraszam za najście, ale jeśli można to chcielibyśmy wejść na chwilę i informuję, że jest nas dwóch. Konwojent został troszkę w tyle, brat Obirek go nie widział. Powiedziałem: „Niech pan podejdzie”, kiedy brat zobaczył milicjanta w mundurze, zmarszczył brwi, ale bardzo szybko się opanował i zaprosił nas do mieszkania. W mieszkaniu przywitałem się czule ze wszystkimi, to znaczy z bratem Obirkiem i siostrą Obirkową. Była też Hela, córka Obirków, panienska 2 lata starsza ode mnie. Hela jak zobaczyła milicjanta i mnie, otworzyła buzię i zrobiła takie duże oczy, że musiałem mrugnąć na nią, zrozumiała i uspokoiła się. Przy przywitaniu przytuliłem Helę bardzo blisko i szepnąłem jej na ucho, że wszystko jest dobrze, tylko proszę na jak najmniej pytań. Ucałowała mnie w policzek i powiedziała: „Rozumiem”. Brat Obirek dorzucił: „Powiedzieliś Jurku, że wchodzicie na chwilę, gdzie wy teraz jeszcze chcecie jechać, u nas przenocujecie, przecież jest gdzie spać. Rozbierajcie się, zaraz będzie kolacja i spać”. Konwojent odezwał się: „Jeśli to możliwe, to będę wam bardzo wdzięczny. Myślę, że on też” – wskazując na mnie. „Chyba tak” – odparłem. Napięta atmosfera się rozładowała. Konwojent też poczuł się swobodnie

widząc takie rodzinne, przyjazne środowisko po kolacji jeszcze chwilę pogadaliśmy, brat Obirek zapytał: „To skąd, czy dokąd, jeśli można?”. Odpowiedziałem, że przyjechaliśmy z Lublina, a jutro do Tomaszowa i wreszcie do domu. „Szczegóły wam opowiem w innym czasie”. Poszliśmy spać. Spaliśmy jak zabici, on po podróży, a ja prawie po dwóch tygodniach, w normalnym łóżku. Chyba komentarza nie trzeba. Rano pojechaliśmy do Tomaszowa na komendę. Na komendzie konwojent zdał mój depozyt i wszystkie papiery, jakie miał. Dyżurny potwierdził odbiór i konwojent odszedł. Mnie kazał usiąść, przejrzał papiery i powiedział, że mam chwilę poczekać, a on wyszedł z tymi dokumentami. Po chwili wrócił i powiedział: „Na razie pójdziesz do celi”. Zawołał strażnika, ten zaprowadził mnie do celi, w której było kilkanaście osób. Dość złowrogo to bractwo wyglądało. Brody pozarastane, włosy rozczochrane, większość tacy typowi bandziorzy z powieści, że aż mnie strach przeleciał. Zameldowałem się według zwyczaju, zaraz mnie obstąpili i z pytaniami, za co mnie zamknęli. Ale ja nie chciałem w ogóle rozmawiać. Powiedziałem: „Dajcie mi spokój, jestem bardzo zmęczony. Potem wam wszystko opowiem”. Jakiś cwaniak spomiędzy nich głośno z uśmiechem powiedział: „Jak jesteś zmęczony, to możemy Cię rozruszać”. Pomyślałem, no tak, na ostatku może mi się oberwać. Jednak komendant celi, starszy facet, chociaż o dość zbójceckim wyglądzie, stanowczym głosem powiedział: „Dajcie mu spokój, niech się oswoi. To może być Twoje wyrko” – pokazał mi drewnianą pryczę pod ścianą. Zwalilem się zaraz na tę pryczę i udawałem bardzo zmęczonego.

W międzyczasie wysłali z komendy telegram do Jarczowa, do taty, żeby natychmiast zgłosił się na komendę powiatową z dowodem osobistym. Telegram szybko doręczono specjalnym posłańcem. Tato zaraz udał się do autobusu i dość szybko zgłosił się na komendzie. Dyżurny sprawdził taty dowód i pokazał mu mój dowód i zapytał: „Kto to jest?”. Tato odpowiedział:

„To mój syn”. Po chwili strażnik mnie przyprowadził na dyżurkę i oficer dyżurny powiedział: „Jesteś wolny i więcej nie wracaj”. Odebrałem depozyt, dokumenty, podpisałem protokół i znowu takie oświadczenie, że podczas tej całej operacji nie doznałem od władz żadnej krzywdy. Wyszliśmy z tatą na miasto, zrobiliśmy przy okazji jakieś zakupy i wróciliśmy do domu. Tak oto wygląda mój pierwszy chrzest bojowy. Być może ktoś powie, że był to zwykły zbieg okoliczności. Ja jednak jestem przekonany, że to było opatrnościowe dozwoleństwo przygotowane dla mnie do większego boju wiary, jak był przede mną.

Nie było to jednak jedyne doświadczenie tego typu. Chociaż już zrezygnowałem z kupna tego silnika, to nie zrezygnowałem z różnych niezbędnych czynności w gospodarstwie. Pewnego razu, z jednym z dalszych sąsiadów, wybraliśmy się w pewnej sprawie do Rzeszowa. W Rzeszowie miałem stryjka, u którego mieliśmy się zatrzymać i załatwić pewne sprawy. Jadąc pociągiem z Bełzca do Rzeszowa, pociąg jechał ponad samą granicą z Rosją. Była to strefa nadgraniczna i na tym odcinku trzeba było mieć zezwolenie na przejazd tą strefą. Nie wiedzieliśmy o tym i takich pozwoleń nie mieliśmy. Na domiar złego miałem ze sobą aparat fotograficzny, co też było w tej strefie zabronione. Miałem też ze sobą Biblię, która też nie była mile widziana przez ówczesne władze. To wszystko razem złożyło się na wielkie „bum”. Kiedy żołnierze Straży Granicznej weszli do wagonu na kontrolę, oczywiście zaświadczeń nie mieliśmy. Podczas rewizji, ten nieszczęsny aparat, już nic gorszego nie mogło być, więc nas zatrzymali. Wysadzili też kilka innych osób i zaprowadzili nas na strażnicę. Zatrzymali mi aparat, Biblię i dokumenty. Przenocowaliśmy na strażnicy w areszcie, rano mnie i sąsiada, że to byliśmy z jednej miejscowości, odwieźli na UB (Urząd Bezpieczeństwa) do Lubaczowa. Tam wywołali film, który był w aparacie. Oczywiście był czysty. Na UB byłem kilka razy

przesłuchiwany i w dzień, i w nocy na różne sposoby. Wreszcie jeden z „ubowców” przyczepił się do Biblii, po co mi ona, a tym bardziej w pociągu. Powiedziałem, że lubię ją czytać i w podróży sobie czytam. To był taki bardzo ordynarny cham, podszedł do mnie i uderzył mnie w twarz dość mocno i krzyknął: „Ty za tą Biblię to zgnijesz w więzieniu”. Zdenerwowałem się i też dość głośno powiedziałem: „Jak będziecie z tego mieli jakąś korzyść, to jaki problem? Nie będę ani pierwszy, ani ostatni co oddali za nią życie”. Wtedy on się zdenerwował i dodał: „Takiś mocny, zobaczymy” i znowu mnie uderzył tak, że krew mi poleciała z wargi. Rzucił Biblię na stół i wyszedł. Wszedł inny i zaprowadził mnie do celi. Po dłuższej chwili, strażnik otworzył drzwi, kazał mi zabrać, co mam i zaprowadził na dyżurkę. Za biurkiem siedział starszy facet, spojrzał na mnie i zagadnął: „Tym razem, że to pierwszy raz, to Ci darujemy, ale na drugi raz będzie gorzej. Jesteś wolny”. Oddał mi aparat, Biblię i dokumenty. Kazał zabrać bagaż, jaki miałem i mogłem odejść. Ale pojawił się jeszcze pewien problem. Sąsiad, którego zwolnili razem ze mną nie chciał podpisać protokołu z naszego zatrzymania. To było niezbędne i nie było tam nic takiego, czego by nie należało podpisywać. Sąsiad ten był bardzo religijnym katolikiem. W tym czasie była duża nagonka zapisywania do partii PPR (Polska Partia Robotnicza, później: PZPR). Sąsiad umyślił sobie, że ten podpis to jest podstęp do podpisania deklaracji partyjnej. Kiedy podano mu protokół do podpisu, to on uklęknął na kolana i zaczął odmawiać różaniec. Dyżurny powiedział: „Jak nie podpiszecie, to was nie zwolnie”. Ja w żaden sposób nie mogłem zostawić go samego, odsunąłem się nieco do tyłu i na migi pokazałem dyżurnemu, że podpiszę za niego, natomiast głośno powiedziałem, że ten człowiek nie rozumie o co tu chodzi, proszę mu to darować. Dyżurny spojrzał na mnie, wziął mnie do pokoju obok i pyta: „O co tu chodzi?”. Wyjaśniłem mu, że ten człowiek myśli, że tym sposobem chce go zapisać

do partii i on wam nic nie podpisze, ja podpiszę za niego i będzie spokój. Roześmiał się i dodał: „No dobra!”. Wróciliśmy, podpisałem swój protokół i sąsiada, więc byliśmy wolni. Ta przeprawa na UB trwała cały tydzień, a wydawało mi się, że był to cały miesiąc. Takim to sposobem znowu skosztowałem więziennego chleba i poczułem siłę „władzy ludowej”. Czyżby znowu zwykły zbieg okoliczności? Wydaje mi się, że chyba nie, gdyż za kilka miesięcy stanąłem przed poważnym problemem, z jakim musiałem się zmierzyć. Tak po pierwszym, jak i po drugim z tych przypadkowych aresztowań, miałem sporo czasu, żeby dokładnie przemyśleć co mnie czeka, jeśli odmówię służby wojskowej. Właściwie to już nie teoretycznie, ale praktycznie byłem na to przygotowany. Teraz wreszcie mogę przejść do tego

„Jak do tego doszło”

Dwudziestego ósmego września 1950-tego roku stanąłem przed wojskową komisją lekarską w Tomaszowie Lubelskim. Zostałem uznany przez komisję za zdolnego do służby wojskowej (liniowej) i tam też od razu dostałem bilet i skierowanie do R.K.U. (Rejonowa Komenda Uzupełnień) do Hrubieszowa, na dwunastego listopada. Nie miałem żadnych podstaw do ubiegania się o zwolnienie czy odroczenie od służby wojskowej, więc zgłosiłem się w Hrubieszowie do R.K.U. Przy spisywaniu danych personalnych zapytano o zawód. „Rolnik” – odpowiedziałem, a jakiś wyuczony zawód – padło pytanie. „Kierowca” – dodałem (wtenczas mówiło się „szofer”). Ten, który mnie spisywał, zaraz głośno zawołał po nazwisku pewnego oficera. Poruczniku, macie tu szofera. Oficer podszedł do mnie, podał mi rękę i powiedział: „Będziecie pod moja komenda”. Sprawdził jeszcze prawo jazdy i odstawił mnie do swojej grupy poborowych. Następnie zebrał

swoją grupę, odczytał nazwiska, wszystko się zgadzało. Poinformował nas, że pojedziemy do jednostki wojskowej w Krotoszynie (koło Poznania). „Nie rozchodzić się, zaraz pójdziemy do pociągu”. W pociągu już całkiem na spokojnie, podszedłem do przedziału, gdzie siedział ten porucznik i zagadnąłem go, że mam do niego osobistą sprawę. Chętnie zgodził się, kazał usiąść około siebie, było wolne miejsce. Miałem ze sobą takie oświadczenie, a zarazem prośbę o umożliwienie mi służby bez broni. Pismo to brzmiało mnie więcej w taki sposób.

„ Rozumiem, że służba wojskowa jest obowiązkowa i nie uchylam się od służby. Ale będąc wierzącym sumienie moje nie pozwala mi ćwiczyć się z bronią, która służy do zabijania. Mogę służyć jako sanitariusz. Mam ukończony kurs przodowników zdrowia, mam legitymację, czy też w jakimkolwiek innym charakterze, ale bez broni. ”

Podąłem porucznikowi to pismo, był bardzo zaskoczony i zauważył: „Dlaczego nie dałeś tego pisma w R.K.U., ja bym Cię nie wziął, bo mi zależało na tym, że jesteś szoferem. Dlatego Cię wziąłem.” Pomyślał długą chwilę i dodał: „No trudno, zobaczymy co się dla zrobić, daj mi to pismo, postaram się zadziałać”. Już do końca podróży siedzieliśmy razem. Rozmawialiśmy na różne tematy, dużo wypytywał się o poglądy religijne, także polityczne. Tu już z doświadczenia wiedziałem, że trzeba trochę trzymać język za zębami, żeby się za dużo nie wygadać. Spodobałem mu się i mówił, że: „Szkoda, bo widzę, że chociaż jesteś ze wsi, jesteś obyty i niegłupi chłopak, masz swoje racje”.

Po przyjeździe do koszar 13-go listopada zostałem wcielony do 14-tej dywizji artylerii przeciwlotniczej. A 14-go listopada przydzielony do trzeciej baterii. Na pewno tych konkretnych dat bym nie pamiętał, ale spisałem je z dokumentów, jakie do tej pory posiadam. Oczywiście miałem ze sobą Biblię, Manę i śpiewnik. W jednostce można było mieć modlitewniki i niektórzy mieli, to i ja mogłem mieć swoje książki. Że nie ukrywałem kim jestem, to zaraz potoczyły się rozmowy na tematy religijne. A ponieważ od pierwszej chwili był na tej sali „kapuś” UB to niestety każda nasza rozmowa zaraz była donoszona do przełożonych. Toteż szybko pojawił się „politruk” (to taki wychowawca z wydziału politycznego) sierżant i zaczął mnie wypytywać co to ja za herezje rozpowiadam. Powiedział: „Możesz wierzyć, w co chcesz, nikt tego nie broni, ale nie rozpowiadać, nie dyskutować o tym, to jest wojsko”. Nie chciałem za wiele z nim rozmawiać, żeby nie pogarszać sprawy, ale jeden z chłopaków wskoczył na niego: „Jak to jest?! To o czym mamy rozmawiać. O religii nie, o polityce nie, to o czym wreszcie możemy rozmawiać?”

Na sali było nas dziesięciu, wszyscy mieli prawo jazdy samochodowe. To była grupa mająca obsługiwać samochody baterii przeciwlotniczej, tzw. „pelotka”. Dopasowano nam umundurowanie, nasze cywilne ubrania dano do worków i oddano do magazynu. Następnie zaprowadzili nas do garaży, pokazali nasze samochody, które miały być nam przydzielone, podano każdemu numer samochodu i mogliśmy je pooglądać. Na razie nasze codzienne zajęcia polegały na tym, że rano gimnastyka, mycie i ubieranie i marsz na stołówkę na śniadanie. Po śniadaniu, prasówka na dużej sali. Potem musztra na placu koszarowym, marsz na obiad, po obiedzie godzinę drzemki, pobudka i do samochodów. Był bardzo dobry instruktor, który zapoznawał nas z przysłymi zadaniami. Któregoś dnia na stołówce przy obiedzie (to była bardzo duża stołówka), jakiś oficer głośno zakomenderował:

„Potrzebujemy kilku ochotników do pomocy na stołówce i w kuchni, kto chętny, powstańcie”. Natychmiast wstałem i jeszcze dwóch czy trzech się zgłosiło. Ten oficer zaraz spisał nasze nazwiska i pluton i dodał: „Już możecie zostać, zaraz dostaniecie polecenia”. Pomyślałem sobie, może to będzie jakaś szansa na wymiganie się od zwykłej służby. Od tej pory już rano nie chodziłem na gimnastykę, tylko myłem się, ubierałem i szedłem na stołówkę. Na prasówkę też nie przychodziłem. Na musztrze też rzadko kiedy byłem, zawsze się tłumaczyłem, że była praca w kuchni. Tylko na zajęciach przy samochodach zawsze starałem się być, bo samochody mnie bardzo interesowały.

Szef stołówki i kucharze szybko mnie polubili, bo byłem posłuszny, wszystkie polecenia sprawnie wykonywałem, gdyż w tych sprawach byłem dość sprytny. W tym czasie zapoznałem się z wieloma sprawami, przyjrzałem się organizacji zbiorowego żywienia. W kuchni z ciekawością przyglądałem się różnym urządzeniom, jak kotły warzelniane na parę, na olej i inne. Jak na ówczesne urządzenia. To wszystko, jak się potem okaże, było mi bardzo przydatne w moich dalszych zmaganiach. Prawie cały miesiąc tak się objąłem.

Wreszcie zaczęły się przygotowania żołnierzy do przysięgi. I wtenczas moja sprawa ruszyła z miejsca. Dowódca kompanii, porucznik, któremu dałem to pismo, w którym określiłem moje stanowisko, powiedział mi, że oddał to pismo do dowódcy jednostki i że on nie jest w stanie mi nic obiecać. Może mi tylko doradzić, żeby nie występować podczas przysięgi, to później może jakoś się ułożyć. Odpowiedziałem mu, że tak nie może być, że przysięga zobowiązuje i jeżeli po przysiędze odmówię wykonania jakiegoś rozkazu, to zostanę ukarany za przestępstwo, więc wolę pójść do więzienia za przekonania niżeli za przestępstwo. Odpowiedział: „Rób, jak uważasz. Ja nic w tej sprawie nie mogę”.

Któregoś dnia zostałem wezwany do głównej siedziby jednostki. Przy dużym stole siedziało kilku oficerów. Naprzeciwko siedział pułkownik, to był ruski. Mówił po polsku, ale z ruskim akcentem. Kazał mi też usiąść przy stole, usiadłem, wtedy pułkownik odezwał się: „Co? Nie podoba się polskie wojsko?” – zwracając się do mnie. Odpowiedziałem: „Przecież ja tego nie powiedziałem”. On na to dość podniesionym głosem: „A to, to co?” – pokazując mi moje pismo. Spokojnie odciąłem się, że tam nie ma napisane, że mi się nie podoba wojsko, tylko że moje przekonania nie pozwalają mi na ćwiczenie się z bronią i dlatego proszę o umożliwienie mi służby bez broni, a także zwolnienie mnie z przysięgi, gdyż przysięga zobowiązuje do przyjęcia broni, której nie wezmę. Pułkownik zdenerwował się i krzyknął: „Nie ma wojska bez broni! Co wy sobie myślicie? Żołnierz musi mieć broń jakakolwiek by funkcję nie wykonywał!”. Nic się na to nie odezwałem, tylko zauważyłem, że to go też wkurzyło, że byłem zupełnie spokojny. Mój spokój wynikał z tego, że nie byłem takim żołnierzkiem wystraszoną spod musztry. Miałem duży luz, codziennie chodząc na stołówkę, na kuchnię, cały czas stykałem się z różnymi żołnierzami, oficerami i podoficerami. Po prostu byłem obyty z tym otoczeniem. W końcu pułkownik skinął na jednego oficera, widocznie byli umówieni na taką scenę, ten oficer wyjął pistolet, zwrócił się do mnie podając mi ten pistolet; powiedział: „Podajcie to kapitanowi, który siedział obok mnie”. Więc bez namysłu wzięłem pistolet do ręki i odezwałem się: „Obywatelu pułkowniku, oficerowie, ja nie jestem fanatykiem, że tej broni nie dotknę. Ale jeszcze raz oświadczam wam, że broń służy wyłącznie do zabijania. Wiem, że zabić można nożem, ręką, czymkolwiek, a to służy tylko do jednego celu, tym się nie da ukroić chleba czy zrobić coś innego”. Mówiąc to trzymałem pistolet w ręku, wszyscy byli bardzo zaskoczeni tą sceną. Oficer, który podał mi ten pistolet, wziął go z powrotem i już nie kazał podawać kapitanowi.

Wszyscy spojrzeli po sobie, chyba zawiedzeni, raczej myśleli, że nie wezmę do ręki tej broni i zrobią protokół, że odmówiłem wykonania rozkazu i będą mieli podstawę do aresztowania mnie. Właściwie to nie wiem, co oni chcieli uzyskać, bo nie byłem jeszcze po przysiędze, tak czy inaczej nie wyszło im to. Pułkownik też jakby nie wiedział, co ma dalej począć, już spokojnie powiedział: „No dobrze, zobaczymy, możecie odmaszerować”. Wstałem od stołu, stanąłem na baczność, stuknąłem obcasami, odmeldowałem się i wyszedłem prosto na stołówkę. Zbliżała się pora obiadu. Po obiedzie wróciłem na salę, żeby pójść na zajęcia do samochodów. W tym czasie przyszedł na salę jakiś kapral z pistoletem za pasem bez kabury, wywołał mnie po nazwisku i dodał: „Chodźcie ze mną!”. Byłem przekonany, że mnie aresztuje, on jednak poprowadził mnie po schodach na takie bardzo duże poddasze, gdzie było bardzo dużo różnych przyrządów do ćwiczeń. Były tam liny, po których trzeba było wspinać się bardzo wysoko, potem przejść po linie trzymając się rękami i zejść na dół. Często tam ćwiczyliśmy i dobrze znałem to miejsce (bardzo dobrze opanowałem wchodzenie i wychodzenie po linie, co później bardzo mi się w życiu przydało; był taki okres, że kopałem dużo i czasem głębokie studnie, do których swobodnie sobie wchodziłem i wychodziłem po linie). Nie mogłem nijak domyślić się, po co mnie tam prowadził. Kiedy weszliśmy na to poddasze, stanęliśmy obok stojącego w pobliżu dużego warsztatu stolarskiego. On wyjął zza pasa pistolet, z kieszeni wyjął magazynek z nabojami, a robił to tak ostentacyjnie, żebym się dobrze temu przyglądał. Zacząłem sobie kojarzyć, że chce mnie bardzo nastraszyć. Był to sobie taki drobny chłopczyzna i muszę przyznać, że ledwo się powstrzymywałem od tego, żeby mu zabrać ten pistolet, jego stłuc na kwaśne jabłko, pistolet wrzucić w wióra stolarskie, samemu zejść szybko na zajęcia do samochodów. Nie było żadnego świadka co się stało. Piszę to szczerze,

bo zawsze byłem „w gorącej wodzie kąpany” i że mnie dzisiaj wstyd, bo z trudem się powstrzymałem. Kiedy załadował magazynek, wprowadził nabój, zauważyłem jednak, że ma pistolet zabezpieczony. Wtedy odezwał się do mnie: „No i jak, przyjmiesz broń, czy mam Cię o to prosić?”. Ten kapralina był może ze trzy lata starszy ode mnie, ale tak go zlekceważyłem, że mówiłem do niego przez „Ty”, a nie „Obywatelu Kapralu”. Kiedy mnie zapytał, to mu odpowiedziałem, że: „To nie Twoja, tylko moja sprawa, czy przyjmę czy nie”. Bardzo się oburzył: „Jak Ty się odnosisz do mnie? Jestem kapralem i tak się masz do mnie odnosić. Jestem przełożonym”. Więc mu odpowiedziałem: „Dla mnie to Ty nie jesteś kapralem, tylko bandytą napadającym na niewinnego człowieka, a po drugie to Ty nie jesteś moim przełożonym, ja dobrze wiem, kto jest moim przełożonym”. On krzyknął: „Mogę Cię teraz zastrzelić i nikt nawet nie będzie wiedział, co się stało”. Oddałem mu „pięknym za nadobne”: „Wiem, że gdybyś mógł, to byś to bez wahania zrobił, ale że nie możesz, to nie zrobisz tego. Ja natomiast jestem przed przysięgą, więc mogę się z Tobą policzyć i też nikt nie będzie o tym wiedział”. Zrobiłem krok do przodu, spoglądając czy nie odbezpieczył pistoletu. Jednak nie odbezpieczył. Dodałem jeszcze: „Daruj sobie ten awans, wycofaj się z tej gry, bo ja broni nie przyjmę, a Twoja misja może się źle skończyć i dla mnie, i dla Ciebie”. „No zobaczymy” – powiedział. Bardzo był zaskoczony moją postawą i wystraszony bardziej jak ja. I zrezygnował z dalszego zastraszania, schował broń za pas i zeszliśmy na dół, a on dodał: „Jeszcze mnie popamiętasz”. Byłem przekonany, że będę aresztowany, toteż nie miałem powodu, żeby się płaszczyć przed byle kapraliną. Faktycznie tak było, że gdyby mnie jakimkolwiek sposobem przekonał do przyjęcia broni, awansowałby i to mu się nie udało. On poszedł w swoją stronę, a ja pobiegłem na zajęcia do samochodów.

Następnego dnia (13-tego grudnia 1950 r.) przyszło dwóch żołnierzy ze starego rocznika, z karabinami, z paskami pod brodą, a akurat byłem na sali, wróciłem z dyżuru ze stołówki. Pokazali mi nakaz aresztowania i kazali mi pójść za sobą. Kazali mi też wziąć ze sobą wszystkie swoje rzeczy. Mieliśmy takie prezentowe woreczki ściągane i wiązane sznurkiem. Zabrałem ze sobą co miałem, najważniejsza była Biblia, Manna i śpiewnik, i poszliśmy. Zaprowadzili mnie do koszarowego aresztu, w którym byłem chyba ze trzy doby. Przynosili mi do aresztu śniadanie, obiad i kolację. Żołnierz, który mi przyniósł pierwsze śniadanie, z którym razem pomagaliśmy na stołówce, jak mnie zobaczył, powiedział: „Co Ty tu robisz? Za co? Jak długo będziesz tu siedział?”. „Nie wiem” – odparłem. „Dobrze” – dodał – „Postaramy się przynieść coś konkretnego”. Tak też było.

Wreszcie na trzeci dzień przyszedł jakiś oficer z żołnierzem, który miał karabin, weszli do celi i oficer zwrócił się do mnie: „No i co? Przyjmiecie broń? Czy nadal upieracie się przy swoim?”. „Nie przyjmę” – odpowiedziałem – „I to jest moje ostatnie słowo”. Porucznik wziął karabin od żołnierza, podszedł do mnie, stanął na baczność, wypowiedział jakąś formułkę (już nie pamiętam jaką), że w czyimś imieniu daje mi rozkaz przyjąć broń. Również stanąłem na baczność i spokojnie, ale poważnie odpowiedziałem, że zgodnie ze swoim przekonaniem i sumieniem, odmawiam wykonania rozkazu. Oddał karabin żołnierzowi, wyjął z raportówki papier, spisał protokół i kazał mi go podpisać. Wziąłem papier do ręki i przeczytałem, podpisałem i obaj wyszli. Następnego dnia, zaraz po śniadaniu, przyszło dwóch żołnierzy z automatami, przynieśli mi suchy prowiant na drogę i kazali iść z nimi. Poszliśmy do pociągu, odwieźli mnie do jakiegoś miasta, nie pamiętam, ale wydaje mi się, że to była Świdnica. Tam był taki punkt zbiorczy wszystkich, którzy byli kierowani do prokuratury wojskowej we Wrocławiu.

W pomieszczeniu, w jakim się znalazłem, za biurkiem siedział oficer porucznik. Kazał mi usiąść, wypytał za co zostałem zatrzymany, opowiedziałem mu, a on zagadnął: „Świadek Jehowy?”. Odpowiedziałem, że nie. Spojrzał na mnie i dodał: „A jakiego wyznania?”. Podałem mu: „Świecki Ruch Misyjny Epifania”. „Pierwsze słyszę taką nazwę” – powiedział. A ja dodałem, że jest to grupa Badaczy Pisma Świętego. „Aha!” – mruknął – „To nie jesteś sam. Jest tu takich więcej”. Potem zaczął mi klarować, czy to warto tak się narażać dla religii, że dostanę za to kilka lat więzienia, że mogę nawet dostać 10 lat (bo właściwie to artykuł 129, par. 2 stanowił od 3 do 10 lat). „I całe młode lata sobie zmarnujesz”. Dodał, że to można jeszcze cofnąć, jakbym zmienił zdanie. Odpowiedziałem mu, że ja zdania nie zmienię i jeżeli nie ma możliwości odbycia służby bez broni to trudno, na wszystko jestem zdecydowany.

Stamtąd odwieziono mnie do Wrocławia, do więzienia przy ulicy Klęczkowskiej. Ulokowano mnie w celi, tak zwanej kwarantannie. Pod całą ścianą prycza z desek jak na baszcie, wyświechtana pewno tysiącami różnymi ubrań, goła, bez żadnej pościeli. W tej celi byłem chyba 10 dni. Taka była norma kwarantanny. Potem zaprowadzono mnie do łaźni, wykapałem się, dostałem czystą bieliznę, ale cały czas byłem w swoim mundurze, tylko jeszcze w koszarach zabrano mi pas i czapkę z orzełkiem. Stamtąd zaprowadzono mnie już na oddział do normalnej celi, gdzie były już łóżka z pościelą, więc były już jakie takie warunki do dłuższego pobytu. W celi było już dwóch też w mundurach. Wchodząc pół żartem zapytałem: „To który jest komendantem tej celi?”. Roześmiali się obaj, że jeszcze nie wybrali. Czekają na komplet. Przywitałem się z nimi, a że byli dość nieśmiali, a ja byłem w dobrym humorze, że wreszcie wydostałem się z tej kwarantanny, pierwszy zapytałem: „To za co, chłopaki, wpadliście?”. Choć niechętnie, ale jeden z nich, trochę śmielszy, powiedział że odmówili przyjęcia broni. Spojrzałem na nich

zdzumiony i dodałem: „Obaj?”. „Tak” – padła odpowiedź. Więc jeszcze raz wyciągnąłem do nich, ale tym razem obie ręce i ze łzami w oczach powiedziałem: „Pokój wam, drodzy bracia! Niech nam Bóg dopomoże do zwycięstwa”. Rzuciliśmy się sobie w objęcia. Oni byli bardzo zaskoczeni i ja też. Zaraz zapytałem z jakiego zboru, z jakiej grupy. Okazało się, że oni byli z braci Wolnych. Jeden był z Nowego Tomysła, niedaleko Poznania, nazywał się Mieczysław Skierecki, drugi – Jan Swodoba, ze Śląska, nie pamiętam miejscowości. W dowód tego, że mówię prawdę o sobie, wyjąłem ze swojego woreczka Biblię, Mannę i śpiewnik. Byli bardzo zdziwieni, jak to przemyśliłem, że im zabrali zaraz w jednostce. Bardzo się ucieszyli, że choć tyle mamy do poczytania.

Wszyscy trzej jednoznacznie doszliśmy do wniosku, że to Boska opatrzność zrządziła, że jesteśmy razem, aby dodać sobie otuchy, odwagi do dalszego boju. Zaproponowałem, żebyśmy wspólnie podziękowali Bogu za Jego kierownictwo. Uklękliśmy na kolana, zapytałem: „To który się pomodli?”. Powiedzieli: „To chyba Ty”. Podczas modlitwy popłakaliśmy się wszyscy trzej. Kilka dni było nam bardzo przyjemnie we trójkę. Czytaliśmy sobie Mannę, śpiewaliśmy półgłosem pieśni, na głos czytaliśmy fragmenty Biblii, ale to była cela czteroosobowa, więc niedługo było tego dobrego. Któregoś dnia dodali nam jeszcze jednego, też w mundurze wojskowym, ale już nie z naszej „branży”. Tak zdegradowanego człowieka nigdy wcześniej nie spotkałem i chyba już nie spotkam. Ten człowiek zakłócił nam całkowicie nasz spokój pod każdym względem. Można było śmiało powiedzieć, że całe wojsko demonów siedziało w tym człowieku. Nie sposób byłoby opisać zachowania tego człowieka. Za każdym słowem używał niecenzuralnych słów, jakich chyba najgorszy margines społeczny nie znał. Zmyślał na bieżąco piosenki o niesłychanie wstrętnej treści i śpiewał na cały głos, choć było uszy zatykać, ale waty nie było. Jednym słowem, albo był

psychicznie chory, albo opętany, albo i jedno, i drugie. Gdyby byli sami ci dwaj bracia to on by ich zniszczył i psychicznie, i fizycznie. Na szczęście ja byłem dobrze zbudowany i nie dawałem sobie „w kaszę napluć”, a on było to takie chucherko i bywało tak, że musiałem wziąć go za barki i dobrze potrząsnąć albo delikatnie stuknąć o ścianę i poprosić, żeby się uspokoił, bo będzie z buzi kwaśne jabłko. To na trochę pomagało, ale nie na długo. Prosiłem oddziałowego, żeby go zabrał na inną celę, a nam dał kogoś innego, ale oddziałowy powiedział: „To gdzie ja go dam? Na innej celi to go zabiją. A u was do sprawy musicie jakoś wytrzymać”. Nie długo też nacieszyliśmy się naszą literaturą. Pewnego razu zrobili nam tak zwany „kipisz”, to była taka generalna rewizja w celi. Niestety natrafili na te książki i zabrali je niby to do cenzury. Była to dla nas niepowetowana strata, tylko ten demon cieszył się, że nie będzie więcej wysłuchiwał naszych nabożeństw. Musieliśmy się z tym pogodzić.

W budynku więziennym mieściła się też drukarnia i introligatornia. W tym czasie drukowano teczki osobowe dla każdego obywatela „Polski Ludowej”. Drukarnia miała zamówienia na kilka milionów tych teczek. Po nadruku trzeba było ręcznie te teczki frezować i składać. To było bardzo pracochłonne, więc roznoszono te teczki pod cele i więźniowie tę pracę wykonywali. Myśmy też dostali swoją porcję, bardzo szybko uporaliśmy się z tym i zgłosiłem, że już zrobiliśmy, a że nikt jeszcze nie zgłosił, to strażnik kazał mi zanieść tę porcję do drukarni i pobrać następną. Oczywiście strażnik poszedł ze mną. Idąc do drukarni przechodziło się obok dyżurki oddziałowej. Idąc z powrotem niosłem następną porcję, drzwi do dyżurki były otwarte. Zerknąłem w te otwarte drzwi i zauważyłem, że wysoko na szafie leżą moje książki. Aż mi serce załomotało na ich widok, jakby je z powrotem zdobyć. Drukarni bardzo zależało, żeby jak najwięcej tych teczek złożyć, więc kazali zgłaszać każdą

zrobioną porcję. Na następny dzień znowu zaniósłem naszą robotę i przyniosłem następną porcję. Kiedy strażnik otworzył mi moją celę powiedział: „Odnieście jeszcze z innej celi taką resztkę, przejdziecie z tym sami, mówiłem bramowemu, to was wpuści”. Z powrotem nic już nie niosłem i byłem sam, drzwi do dyżurki też były otwarte, wszedłem do dyżurki. Książki leżały na szafie, za biurkiem siedział dyżurny, zagadnąłem go czy te książki już były w cenzurze, wskazując na te książki na szafie. Spojrzał na mnie, na te książki i zapytał: „A co to za książki?”. Powiedziałem, że to są moje książki, że zabrali je podczas kłótni, że oddadzą je do cenzury. Zawahał się i odparł: „Jak Twoje to były w cenzurze czy nie, zabierz je”. Wziąłem je, podziękowałem, strażnik wpuścił mnie do celi, spojrzał na książki i powiedział: „Nie czytać książek, tylko składać teczki!”. „Tak jest!” – odparłem. Jak pokazałem chłopakom książki, bardzo się zadziwili, jakim cudem je odzyskałem. Położyłem palec na ustach, bo obawiałem się, żeby ten demon nie usłyszał, bo tak mi się wydawało, że on nas kapuje. Znowu cieszyliśmy się tą literaturą. Po kilku dniach wzięli naszego czwartego lokatora na rozprawę. Wrócił bardzo smutny, bo dostał trzy lata. Nigdy, ani wcześniej, ani po sprawie, nie przyznał się za co siedział. Zaraz potem zabrali go nie wiem dokąd. Zostaliśmy we trzech, znowu mieliśmy spokój, to tak było jakby radio wyłączył i przestało grać.

Po następnych kilku dniach i nas trzech zabrali na krótko do więzienia na ulicy Sądowej i stamtąd na rozprawę. Wszyscy trzej mieliśmy rozprawę w tym samym dniu i jednocześnie. Moi rodzice byli powiadomieni o terminie rozprawy i tato przyjechał na rozprawę. Przyszło też kilka osób ze zboru wrocławskiego, w sumie było u mnie 8 osób. U tych braci z Wolnych nie było nikogo. Rozprawa odbywała się jednocześnie, więc wszyscy trzej siedzieliśmy razem na ławie oskarżonych i po kolei odczytywano nam akt oskarżenia. Akty oskarżenia wynikały z artykułu 129,

paragrafu 1 i 2 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego, i brzmiał: „Nie wykonanie rozkazu”. Każdy z nas miał obrońcę z urzędu. Prokurator wygłosił siarczyste przemówienie, jakim to wielkim zagrożeniem jesteśmy dla państwa polskiego, że nie chcąc bronić Ojczyzny, jesteśmy jej wrogami itd. itp. Po tej śpiewce prokuratora, sędzieja jeszcze coś dodał (już nie pamiętam co) i udzielił głosu obrońcy. Pierwsi zabrali głos obrońcy tych braci z Wolnych. Obaj wymyślali co mogli, żeby spełnić rolę obrońcy, ale bez konkretnych przykładów jakiejś logicznej obrony. Bardzo mi się nie podobało ich podejście do tej obrony. Toteż przysłuchując się już, planowałem swoją reakcję, jeśli mój obrońca wystąpi w podobny sposób. Oczywiście tak też było. Kiedy sędzia udzielił głosu mojemu obrońcy, ten zaczął z tego samego koszyka. Że tak jak w przypadku poprzednich dwóch oskarżonych, tak i w moim przypadku, jestem nieświadomy, zbalamucony. Dodał jeszcze, że jestem ze wsi, to tym bardziej moja nieświadomość jest większa. Dla mnie tego było już za wiele, więc dość podniesionym głosem powiedziałem: „Proszę przestać obywatelu mecenasie, proszę wysoki sąd o głos”. Sędzia był zaskoczony moją reakcją i udzielił mi głosu. Zwróciłem się do obrońcy słowami, że jeżeli nie ma innych argumentów w mojej obronie oprócz tych, że jestem głupim i nieświadomym wieśniakiem, i zbalamuconym przestępcą, to proszę wysokiego sądu, zwróciłem się do sądu, nie życzę sobie takiej obrony. I proszę, żeby obrońca przestał swojej mowy albo wyszedł z sali. Nastąpiła dość długa konsternacja. Obrońca nie wiedział co ma zrobić, spojrzał na sędziego i prokuratora, i usiadł. Sędzia też był zdezorientowany. Po krótkim namyśle powiedział: „No dobrze, to teraz co oskarżeni mają jeszcze do powiedzenia?”. Zwrócił się pierwsze do brata Skiereckiego. Ten bardzo spokojnie powiedział, że swoją decyzję podjął zgodnie ze swoim sumieniem i przekonaniem, i nie uważa tego za przestępstwo. Jeżeli jednak musi ponieść za to karę,

to prosi o jej łagodny wymiar. Następnie brat Swoboda, króciutko ale do rzeczy, przedstawił, że są dwie drogi postępowania. Szeroka, która prowadzi na zatracenie i wąska, która prowadzi do żywota i że obrał tę drugą obojętnie na konsekwencje, jakie trzeba będzie ponieść. W końcu mnie Sędzia zapytał, co mam jeszcze do powiedzenia. Powiedziałem, że nie mam wiele do powiedzenia, ale chciałbym dodać, że dziwi mnie wystąpienie prokuratora, który wyraził się, że my, bezbronni ludzie, jesteśmy zagrożeniem dla silnego, ludowego państwa polskiego. Być może jako ciemny wieśniak nie mogę tego zrozumieć. Ale nie rozumiem też, że państwo, które gwarantuje swoim obywatelom wolność sumienia i wyznania, które nikomu i niczemu nie zagraża, każe za postępowanie zgodne ze swoim sumieniem i wyznaniem. Już dobrze nie pamiętam, ale chyba w związku z tym co powiedziałem, poprosiłem o sprawiedliwy i uczciwy wymiar kary. Nie zdobyłem się prosić o łagodny wymiar kary, za bardzo mnie poniosło, toteż poniosłem i konsekwencje tego. Sędzia zapowiedział, że wyrok zostanie ogłoszony po naradzie. Sędzia i dwóch ławników wyszło do drugiego pokoju.

Prokurator, w międzyczasie, pozwolił na spotkanie z rodziną. Przywitaliśmy się z braterstwem, z tatą. Bracia mnie zganili, że za bardzo się uniosłem. Nie potrafiłem jednak zachować się inaczej, a może właśnie dlatego, że braterstwo byli na sali. Sąd wrócił z narady, odczytał wyroki. Skierecki i Swoboda dostali po 3 lata, ja – chyba za swoją hardość – dostałem 5 lat pozbawienia wolności. To miało miejsce 25 stycznia 1951-go roku. Prokurator pozwolił nam pożegnać się ze wszystkimi i odprowadzono nas do celi, a następnie przewieziono nas z powrotem na Kłęczkowską, do tej samej celi, w której byliśmy wcześniej. Co prawda te pięć lat wcale mi nie były do śmiechu, ale z drugiej strony, to aż tak mnie nie przerażały. W tym czasie sytuacja na świecie była tak napięta. Wschód i zachód prowadziły ze sobą tak zawziętą zimną wojnę, że wydawało się,

iż lada moment wybuchnie wielka zawierucha. Natomiast sugestie brata Johnsona co do roku 54 czy 56-go przy takiej sytuacji światowej, wydawały się tak trafne, że zdecydowana większość braci była w pełni przekonana, że to się wypełni. Dla nas więźniów było to bardzo dużym wsparciem, choćby spokojne przyjęcie takiego wyroku jak 5 lat więzienia. Obecnie, patrząc na to z perspektywy czasu, zauważam że dla niektórych ta przepowiednia była pomocą w ich okazaniu wierności. Natomiast niespełnienie się tych nadziei w następnych latach, było ciężką próbą wiary. Wielu też zgorszyło się tym, jednak wszyscy ci, którzy zrozumieli, że to nie Bóg się pomylił, tylko człowiek i że nie ma powodu tracić wiary w Boskie obietnice, czy też w prorocze przepowiednie, bo one na pewno się spełnią w słusznym czasie, trwając nadal wiernie w oczekiwaniu. Odbiegłem od tematu, odległa przeszłość splotła się z teraźniejszością, wracam do więzienia na Kłęczkowską.

Po powrocie z rozprawy, którejs nocy zrobiono nam kipisz i po raz drugi zabrali nam nasze kochane książki. Na szczęście nie na długo, bo poniekąd wiedziałem, gdzie ich szukać. Nadal roznosiłem teczki pod cele i przechodząc koło dyżurki znowu zauważyłem, że nasze książki leżą na szafie, tylko w innym miejscu, na drugim końcu. Odnosząc po raz kolejny złożone teczki, przechodząc obok dyżurki, drzwi też były otwarte, zauważyłem, że nikogo nie ma w dyżurce, więc niechcący naumyślnie zsunąłem kilka teczek niby to, że mi spadły, prosto w drzwi dyżurki. Ponieważ teczki nosiłem na obu rękach, szybko położyłem je na posadzce, wskoczyłem do środka, wziąłem książki, położyłem na teczkach, pozbierałem rozsypane teczki, przykryłem nimi książki i jak gdyby nigdy nic zaniósłem do drukarni. Książki schowałem w introligatorni, na cele wziąłem tylko Mannę za pazuchę, żeby pokazać chłopakom, że znowu odzyskałem książki i zaniósłem znowu do introligatorni.

W kilka dni po rozprawie wezwano nas trzech do magazynu odzieżowego, kazano nam zdjąć mundury i dano nam ubrania więziennie. Nasze mundury były zimowe, ciepłe, wełniane, a te więzienne drelichy cienkie, zimno było niesamowicie. Wcześniej bywając w drukarni, rozmawiałem z szefem drukarni, czy by nie mógł mnie zatrudnić. Pracowało tam sporo więźniów. Powiedział, że mógłby mnie wziąć, ale przed rozprawą to niemożliwe, bo przed wyrokiem nie wolno zatrudniać na stałe do pracy. Kiedy już nas przemundurowali, szef drukarni zobaczył mnie w więziennym ubraniu, zaraz zagadnął: „To już po rozprawie? Ile dostałeś?”. Pokazałem mu na palcach, dodał: „Ale Ci dosolili”. Zapytałem go, czy teraz spróbuje mnie zatrudnić. „Pięć lat to trochę za duży wyrok, ale spróbuje” – powiedział – „Podobasz mi się. Widzę, że jesteś w porządku chłopak, to spróbuję porozmawiać o Tobie”. Po kilku dniach rano, przed godziną 7, otworzył celę oddziałowy, wywołał mnie i powiedział, że od dziś codziennie będziecie pracować w drukarni. Tak przez jakiś czas, codziennie rano po śniadaniu szedłem do drukarni. Obiad dostawałem w drukarni i na kolację przychodziłem do celi. Akurat natrafiłem, że w introligatorni dostali książki z biblioteki więziennej do naprawy, a bardzo zniszczone do przeróbki. Wykorzystałem ten moment i swoje książki też przełożyłem w inne okładki. Zdjąłem okładki z naszymi napisami i okleiłem w zwykłe okładki, jak na więzienne książki. Tym sposobem nasze książki nie rzucały się w oczy podczas kipsiszu. Po wyroku, już można było wypożyczać książki z biblioteki, więc wypożyczyłem dwie czy trzy książki, nasze poprzekładałem między nie i już były bezpieczne. Przyłożyłem też pieczętkę więziennej biblioteki, bo w introligatorni wszystkie odnowione książki stemplowaliśmy na okładkach. Niedługo jednak cieszyliśmy się wspólnie i sobą, i książkami. Musieliśmy się pożegnać.

Pewnego dnia zabrali nas z tej celi, przenieśli na piętro, rozdzielili nas i tak nas rozlokowali, że nie

byłem nawet w stanie dowiedzieć się, w której celi się znaleźli. Dokładnie nie zapamiętałem, ale wydaje mi się, że podzieliłem te książki między nas. Im dałem Biblię i śpiewnik. Sobie zostawiłem Mannę. Chyba tak było, bo pamiętam, że Mannę miałem bardzo długo. Nie wiem też czy oni byli razem, czy też osobno. Spędzone razem chwile były dla nas bardzo cenne. Ta „jedna wiara, jeden chrzest, jeden duch i jeden Bóg” bardzo nas zbliżyło do siebie. Nigdy jednak, nawet po wyjściu na wolność, nie nawiązałem kontaktu z żadnym z nich. Nie zapamiętałem adresu, a nie zdobyłem się na to, żeby jakim innym sposobem ich odszukać. Teraz, kiedy piszę wspomnienia, szkoduje, że tego nie zrobiłem, ale to już za późno.

Cela, do której trafiłem, była zupełnie inna. Nie było łóżek, tylko grube sienniki ze słomą. Na noc sienniki rozkładaliśmy do spania, a na dzień składaliśmy w stos i przykrywaliśmy pościelą. Też było nas czterech. Towarzystwo było niezbyt udane, byli to tacy typowi przestępcy i trudno się było z nimi dogadać. Ja już byłem na tyle obytym, że jakoś sobie z nimi radziłem. Nadal chodziłem do drukarni, szło mi bardzo dobrze, zapoznałem się z wieloma urządzeniami, spróbowałem prawie każdej czynności. W introligatorni nauczyłem się ręcznie zszywać książki, oklejać okładki i inne. Pewnego razu robiłem na takiej dużej półautomatycznej spinarce obrotowej. Spinałem jakieś kwitariusze wydrukowane na naszej drukarni. No i udało mi się spiąć palec razem z kwitariuszem, nie było to „zbyt przyjemne”. To zostawiam bez komentarza. Nie będę opisywał szczegółów pracy w drukarni czy introligatorni, co i jak robiliśmy, tak czy inaczej było dość urozmaicenia, a tym samym i czas szybciej mijał.

Nie trwało to jednak zbyt długo, nie znam przyczyny, ale zabrano mnie z drukarni i w dodatku przeniesiono do jeszcze innej celi. Tam wszystko było jeszcze innego pokroju, a przy każdej takiej zmianie trzeba było przyzwyczajać się do innych charakterów

(tak sobie myślę, że moja „resocjalizacja” właśnie na tym polegała, żeby swój charakter trochę utemperować). Jedynie słownictwo zawsze było takie same (łacina), że aż uszy bolały, ale na to nie było rady. W celach wiadomo, nuda od rana do wieczora, a jedyną rozrywką była jakaś dobra książka, gdyż można było wypożyczać raz na dwa tygodnie. Było nas na celi pięciu, każdy wypożyczał po dwie książki, potem wymienialiśmy się i prawie na dwa tygodnie starczyło. Robiliśmy sobie z chleba szachy, bardzo szybko nauczyłem się grać w szachy, to mi się spodobało, że w tej grze nie można oszukiwać, a bardzo zmusza do myślenia i to też była jakaś rozrywka. Niektórzy zaawansowani szachiści, grali z innymi celami za pomocą szyfrów Morse’a nadawanych po rurach centralnego ogrzewania. Partnerzy ustalali między sobą szyfr i tym sposobem porozumiewali się i nikt im nie przeszkadzał, bo tylko oni obaj znali ten szyfr. Wymyśliłem też jeszcze jedno zajęcie, że było bardzo zimno, więc zacząłem robić skarpety na drutach. Pruliśmy stare rzeczy, wszystko co się dało pruć, chłopaki wiązali nitki, skręcali w kilkoro jak były cienkie i zwijali w kłębki, i z tego zrobiłem kilka par ciepłych skarpet. Druty zrobiłem ze złączy sprężyn z łóżka. W tej celi były łóżka. Było dość trudno, ale udało się. Robić na drutach umiałem jeszcze w domu. Tym sposobem chociaż w nogi było cieplej. W tym czasie, w całym kraju, a także w więzieniach, miała miejsce taka polityczna akcja podpisywania „Apelu Pokoju”. Wszyscy więźniowie też mieli podpisać i Świadkowie Jehowy nie podpisali tego apelu. Władze więzienne rozwsćiekły się i za karę wszystkich Świadków rozsadziły na pojedyncze cele. Chociaż ja podpisałem, jednak wszystkich innowierców potraktowano jednakowo i mnie też przenieśli do „pojedynki”. Cella była bardzo malutka, w dodatku z wybitą szybą w oknie, było strasznie zimno. Na domiar złego łóżko było żelazne z rzadką kratą, z cienkiego sztabiku (pasy żelazne) pod siennikiem

ze słomą, które było w tym sienniku tyle, ile na gniazdo dla wróbla. Bardzo cienki, wytarty kocyk i małe prześcieradło, no i oczywiście poduszka ze słomą, a raczej była kiedyś w niej słoma, obecnie było w niej parę garści pyłu startego ze słomy. To były moje najgorsze chwile z całego pobytu w więzieniu. Najgorsze jeszcze było to, że było w więzieniu takie zarządzenie, że na noc trzeba było rozebrać się, ubranie złożyć w kostkę, przykryć ręcznikiem złożonym w kostkę na taborecie i wystawić na korytarz. Można sobie wyobrazić spanie tylko w cienkiej bieliźnie w takiej zimnej celi i pod byle jakim przykryciem i na byle jakim posłaniu. Nie pamiętam, jak długo byłem w tej celi, chyba z trzy tygodnie, ale tak podupałem na zdrowiu, że długo potem nie mogłem dojść do siebie. Wyżywienie było bardzo marne. Chleba dali nieco mniej jak zwykle, zupa na obiad bardzo rzadziutka, a najgorsze było to, że prawie zawsze to wszystko było podane zimne, nie było czym się choć trochę rozgrzać. Chociaż wcześniej zawsze było się głodnym, to jednak tutaj głód naprawdę dał się we znaki.

Wreszcie pewnego ranka kazano mi zabrać swoje rzeczy, zostawić tylko miskę i łyżkę, zaprowadzono mnie do takiej celi zbiorczej. Było tam już kilku więźniów. Zapytałem: „Co to się szykuje?”, bo ci więźniowie mieli każdy swój worek z cywilnymi ciuchami. Worki były zaplombowane. Powiedzieli mi, że szykują transport do innego więzienia. Po chwili przyniesiono im moje ciuchy. Było nas dziesięciu i tak się złożyło, że wszyscy byli kierowcy, mieli prawo jazdy. Nikt jednak nie wiedział: gdzie i po co nas zabierają. Wyprowadzono nas na plac, stała już więźniarka, wsiedliśmy do niej i zamknięto nas. Do szoferki wsiadło dwóch strażników z bronią i odjechaliśmy. Odjeżdżałem z wielką ulgą z tego Wrocławia, z Kłęczkowskiej, z myślą, że już gorszych warunkach nigdzie nie może być, jakie tu ostatnio miałem. Jechaliśmy bardzo długo i nie było żadnych szans cokolwiek dojrzeć w jakim kierunku

jedziemy. Mieliśmy suchy prowiant na drogę, dawno go zjedliśmy, bo każdy był głodny, a tego prowiantu było dosyć sporo. Był to chleb razowy i po kawałku słoniny solonej surowej. Nigdy w życiu nic tak nie smakowało, jak ten chleb ze słoniną. Mniej więcej orientując się po naszych żołądkach, że bardzo daleko nas wiozą. Raz tylko zatrzymaliśmy się, sprawdzili czy wszystko w porządku i jechaliśmy dalej. Wreszcie dość późno nad wieczorem, samochód zatrzymał się, było słychać trzask otwieranej bramy. Wjechaliśmy w jakieś podwórze, otworzono więźniarkę i kazano nam wysiadać. Okazało się, że przywieźli nas do Płocka. Niektórzy słyszeli, że w płockim więzieniu są duże warsztaty samochodowe naprawcze, a tu byli sami kierowcy, więc myśleliśmy, że nas zatrudnią w tych warsztatach. Rozlokowali nas po różnych celach.

Warunki w tych celach były dzień do nocy w porównaniu do Wrocławia. W celach ciepłutko, łóżka piętrowe żelazne, ale wyścielane trzyczęściowymi materacami z morskiej trawy, bardzo wygodne, biała pościel, poduszka, koc ubrany w powłokę, wprost nie do uwierzenia. W pierwszych dniach wydawało mi się, że ani w domu nie było tak wygodnie. Ogólnie byłem bardzo osłabiony i bardzo źle się czułem. Zgłosiłem oddziałowemu, że jestem chory, bardzo kaszlałem. Odpowiedział, że jest tu więcej takich kaszlących i że zajmie się nami. I faktycznie, po dwóch dniach, wyprowadzono z kilku cel chyba dziesięciu więźniów, m.in. i mnie, w podobnym stanie jak ja, „kaszlących i słabych” i zaprowadzili nas na podwórko więzienne. Był piękny, słoneczny dzień. Znaleźliśmy się w bardzo nasłonecznionym, ciepłym zakątku podwórka. Tam leżała duża sterta świeżych gałęzi brzoźowych. To była już zaawansowana wiosna, bo na tych gałęziach paki zaczęły się już rozwijać w liście. Z tych gałęzi polecano nam robić miotły. W tym czasie i jeszcze długo potem miotły brzoźowe były używane na porządku dziennym. U nas w domu też używano takich mioteł, więc bardzo

dobrze umiałem je robić. Był też z nami jeden strażnik w mundurze i jeden cywil. Ten cywil tłumaczył, jak się te miotły robi, toteż zanim on wytłumaczył pozostałym, jak to się robi, to ja też już zrobiłem taką naprawdę porządną miotłę. Podszedłem do niego, pokazałem mu swoją i zapytałem: „Czy taka może być?”. Spojrzał, wziął do ręki, swoją opuścił na ziemię, moją dokładnie obejrzał i powiedział: „Takiej to i ja nie potrafię zrobić, musisz pokazać, jak Ty to robisz”. Zrobiłem jeszcze jedną, wyszła jeszcze lepsza, jak pierwsza, a robiłem ją tak sprawnie i szybko, że facet zaśmiał się, mówiąc: „Chyba byłeś z zawodu miotlarzem”. I tak kilka dni korzystaliśmy ze świeżego powietrza i słońca, gdyż utrzymywała się piękna, ciepła i słoneczna wiosenna pogoda. Strażnik nam mówił: „Nie śpieszcie się, żeby wam dłużej starczyło!”. Tak też robiliśmy.

Właściwie po tym relaksie na świeżym powietrzu, dobra atmosfera i trochę ruchu dobrze mi zrobiło. W dodatku wyżywienie było bardzo dobre i w sumie poczułem się lepiej. Pomimo tego, że to dobre na powietrzu się skończyło, to i w celi poczułem jakąś większą chęć do życia, bo w ostatnich dniach we Wrocławiu byłem bardzo załamany. Tu właśnie przyszło mi na myśl, co Apostoł pisze, że „Pan nie da doświadczeń ponad siły”. Tak było i w moim przypadku. Ni stąd, ni zowąd taka zmiana na lepsze. Po dwóch czy trzech tygodniach, dobrze nie pamiętam, znowu duża niespodzianka. Po śniadaniu, oddziałowy otworzył celę, wywołał moje nazwisko, zgłosiłem się. Z oddziałowym był jeszcze drugi strażnik i odezwał się do mnie: „Zabierzcie ze sobą tylko miskę i łyżkę, i chodźcie ze mną” – a do reszty dodał – „na obiedzie go nie będzie, a na kolację wróci”. W żaden sposób nie mogłem rozgryźć, co to ma znaczyć. Czyżby mnie chcieli wziąć do warsztatów? Strażnik prowadził mnie prawie przez całe podwórko i mimochodem spytałem strażnika: „Dokąd idziemy?”, ale on odparł: „Zaraz zobaczycie”. Doszliśmy do dużych, parterowych zabudowań

gospodarczych. Weszliśmy w pierwsze drzwi, do których on miał klucz. Okazało się, że ten strażnik to był szef kuchni i zaprowadził mnie do tzw. obieralni ziemniaków. Wchodząc do tego pomieszczenia powiedział: „Od dziś będziecie tu obierać ziemniaki, jak nie umiesz to się nauczysz”. Wszedłem do tego pomieszczenia, siedziało tam kilka osób, obierali ziemniaki do więziennej kuchni. Przywitałem się ze wszystkimi, powiedziałem swoje nazwisko i zapytałem o nóż do obierania. Dali mi nożyk, oczywiście taki tępy, że nie było możliwe nim obierać. Zaraz wziąłem się za ostrzenie na betonowym progu, wszyscy się przyglądali, jak mi to idzie, po chwili podali mi oselkę specjalną do ostrzenia noży. Zaśmiali się, że na tym progu to do wieczora nie naostrzysz, a jutro dopiero będziesz obierał. To nie był śmiech drwiący, ale żartobliwy, więc wyczuwałem, że atmosfera tu będzie dobra. Pokazałem im, że ten nożyk ma bardzo grube ostrze, na tym betonie szybko zetrę go na cienko, potem na oselce wyostrzę mu żądło. Po dość długiej chwili, wziąłem oselkę, też dość długo nim tarłem i rozglądałem się za jakimś wyświechtanym paskiem skórzanym. Był między nami więzień Niemiec, starszy już facet, który nosił na sobie wojskowy pas, bo miał bardzo duży brzuch i tym pasem podtrzymywał go sobie. Podeszedłem tam do niego i poprosiłem, żeby mi pozwolił potrzymać za koniec tego pasa to wyszlifuje sobie na nim ten nożyk. Ten Niemiec nic nie rozumiał po polsku i nie mogliśmy się dogadać. Więc poszukałem w głowie kilku słów po niemiecku i wreszcie dogadaliśmy się. Długo szlifowałem to ostrze, aż wreszcie pociągnąłem jeszcze po swojej dłoni. Wydawało mi się, że to jest bardzo dobra stal. W końcu spróbowałem na owłosionym nadgarstku i bez żadnego oporu ściałem zarost. Wtedy zawołałem wszystkich i pokazałem jaki ostry nożyk, jak brzytwa. Ten Niemiec zaraz chciał, żeby go ogolić, bo długo się nie golił. Miał bardzo twardy zarost i nikt go nie mógł dobrze ogolić, bardzo go bolało. „Zaraz

po obiedzie spróbujemy” – powiedziałem. I faktycznie po dobrym namydleniu zarostu, mówił że w ogóle nie czuje tego golenia. Potem wszyscy też chcieli, żeby im poostrzyć nożyki. Obok obieralni było drugie pomieszczenie, gdzie stała wysoka wanna na obrane ziemniaki i druga nieduża na płukane ziemniaki. Z tego pomieszczenia były drzwi do kuchni. Kiedy kucharze przychodzili po ziemniaki z takimi dużymi baniakami, to zawsze wołali jednego z nas do pomocy. A że ja byłem najmłodszy, to najczęściej pomagałem i tym samym bywałem w kuchni. Zawsze z kucharzami coś zagadałem i szybko się z nimi zapoznałem. Pewnego razu przyszedł do obieralni jeden z kucharzy i zwrócił się do mnie, czy nie zgodziłbym się przejść do kuchni do zmywania naczyń. Bo ten co był do tej pory odszedł, gdzieś go zabrali. Zgodziłem się bez wahania, bo kiedy bywałem w kuchni to aż mi się oczy śmiały do tych kotłów warzelnianych, przypominała mi się pomoc w kuchni wojskowej w Krotoszynie. On powiedział, że powie szefowi, jak się zgodzi to cię zawołam. Za chwile przyszedł szef i zapytał, czy chcę iść do zmywania. „Tak” – odpowiedziałem. No a on dodał: „A potrafiacie to robić?”. Odpowiedziałem, że potrafię bo robiłem to w wojskowej kuchni, więc dobrze wiem na czym ta praca polega. On na to: „No jak tak to zabieraj swoją miskę i zaraz bierz się do roboty”.

Weszliśmy do kuchni, obok wanny do zmywania na wieszaku wisiał duży fartuch i biały kitel na głowę. Zagadnąłem szefa: „To mój strój?”, wskazując na fartuch. „Tak” – odparł. „Widzę, że wiesz do czego to służy”. Bez pytania zdjąłem fartuch z wieszaka, górną część zarzuciłem sobie na szyję, sznurki sprawnie zawiązałem z tyłu na dwie pętle, a zrobiłem to tak jakbym to robił na co dzień. Szef przyglądał się i widziałem, że był zaskoczony. Założyłem kitel na głowę, górę ściałem trochę desperacko na jedno ucho. Odwróciłem się do szefa, uśmiechnąłem się i zapytałem: „Tak może być?”. Szef starał się zachować

poważną minę, ale też się lekko uśmiechnął i powiedział: „Jak wszystko będziesz robił tak sprawnie jak teraz, na pewno wszystko będzie dobrze i wydaje mi się, że nie muszę cię pouczać, co i jak masz robić”. „Postaram się szefie” – odparłem. Oczywiście zaraz wziąłem się do roboty. Z początku naprawdę miałem dużo pracy, bo poprzednik nie był zbytnio staranny w utrzymaniu czystości. Szybko jednak uporałem się z tymi zaległościami, szef był zadowolony, że dobrze sobie radzę. W tym czasie nie było jeszcze takich środków czystości jak dzisiaj, płyny do mycia naczyń, różne pasty itd.. Była tylko gorąca woda do mycia garów, a do mycia wanny, która była oblepiona tłuszczem, zwykły proszek do prania. Miałem jednak kilka jeszcze domowych sposobów na czyszczenie naczyń, czy narzędzi, więc wszystko się błyszczało jak nowe, dlatego miałem u szefa uznanie i pochwałę.

Pomimo tego, że warunki tak bardzo się poprawiły, to jednak na zdrowiu bardzo źle się czułem. Po tym dłuższym wygłodzeniu i wyziębieniu we Wrocławiu, nie mogłem się jakoś pozbierać. Bałem się zgłaszać szefowi, że źle się czuję bo wiadomo, że na kuchni nie może pracować chory. Jeden z kucharzy obserwował mnie, że jestem jakiś taki kwaśny i zapytał mnie, co mi właściwie jest. Opowiedziałem mu, że we Wrocławiu ostatnio tak mi dali w kość, że nie mogę dojść do siebie i właściwie nie wiem, co mam z sobą zrobić. Przecież w kuchni było pod dostatkiem jedzenia i to do wyboru. Obiady były gotowane oddzielnie dla ciężko pracujących, ogólny i dietetyczny dla tzw. chorobówki (to taki mały szpital przywiezienny). Pracownicy kuchni mieliśmy do wyboru. Nikt nie bronił ani co, ani ile. Jednak nie mogłem sobie niczym dogodzić. Stale mnie bolał brzuch, prawie bez przerwy biegunka, jedyne co mogłem zjeść bez problemu to ryba. Przeważnie były to dorsze, ale dość rzadko. Najlepiej mi odpowiadało, kanapka z surowym płatem z plasterkami cebuli, dobrze osolone, to mogłem jeść

trzy razy dziennie. Nauczył mnie tego ten Niemiec z obieralni, on też bardzo lubił takie kanapki. Niestety, ryby były rzadkością, a przechować też nie było można, ani nie było gdzie, zamrażarek jeszcze nie było. Kiedy opowiedziałem temu kucharzowi o swoich problemach to on powiedział, że zna sposób żeby się podreperować, ale nie wiadomo, czy dam radę zastosować się do tego. To polega na jedzeniu dość dużej ilości wołowego tłuszczu tzw. łoju ze starego bydła. Tu jest go pod dostatkiem, gdyż do kuchni dostajemy przeważnie wołowinę ze starych krów – to jest dużo takiego łoju. Ważne tylko czy dasz radę jeść taki surowy, bo to nie jest takie proste, a tylko taki jest najskuteczniejszy, ale spróbuj. Na początek spróbuj go jeść gotowany, dobrze osolony i z mocną, czarną kawą zbożową. Potem po odrobinie przechodzić na surowy, aż do całkowitego przestawienia się na surowy.

Po co właściwie ja o tym wspominam? To trochę takie bezsensowne, ale w tym czasie to dla mnie było bardzo ważne i chyba dlatego, tak mi się to utrzymało w szczegółach. Z początku ten gorący łój posolony z gorącą kawą nawet był zjadliwy, zaraz też potroszę zacząłem się przystawiać do surowego. Też pierw próbowałem z cebulą i solą, i powoli przyzwyczailem się tak, że nie sprawiało mi już żadnej trudności. Tu muszę zaznaczyć, że bez chleba czy czego innego. W końcu zjadałem do syta, też popijałem gorącą kawą i wszystko było w porządku. I faktycznie brzuch mi się uspokoił i od razu lepiej się poczułem. Dwa razy dziennie, między śniadaniem a obiadem i między obiadem a kolacją, których nie jadłem, podjadałem swoje danie. Potem już wszystko jadłem, a ten łój to był taki deser.

Co się okazało; że bardzo szybko zacząłem przybierać na wadze i w ogóle poczułem się lepiej. Po jakimś czasie nawet szef zauważył i powiedział: „Widzę, że dobrze Ci służy kuchnia”. „Na to wygląda” – przytaknąłem mu. Bardzo byłem wdzięczny temu kucharzowi za tę kurację. Po niedługim czasie, jeden

z kucharzy został gdzieś zabrany i zaraz szef kazał mi zająć jego miejsce. Zaraz też dostałem nowe, białe ubranie i musiałem się codziennie przebierać, z więziennego ubrania na kuchenne. Do nowych zajęć nie musiałem się przyzwyczajać, bo wszystko było mi dobrze znane, jedynie do innych obowiązków, do wcześniejszego wstawania. Bo przecież trzeba było przygotować i wydać śniadanie, i po kolacji czasem też trzeba było zostać dłużej. Nie opisuję szczegółów pracy w kuchni, niemniej jednak, przez prawie sześć miesięcy (bo chyba tyle to trwało). Bardzo dobrze opanowałem wszystkie tajniki kuchni, zbiorowego żywienia, do tego stopnia, że byłem w stanie ułożyć jadłospis w wymaganych kaloriach, a było w Płocku od 800 do 1200 więźniów. Czas pobytu w Płocku bardzo szybko mijał, choćby dzięki temu, że cały czas byłem zajęty pracą. Ale na razie tak to jest, że to, co dobre, nie trwa zbyt długo. Mój pobyt w Płocku, który bardzo dobrze wspominam, też dobiegł końca.

Pewnego dnia, daty nie pamiętam, to było dość późną jesienią. Szef przyszedł do kuchni, zawołał mnie na bok i powiedział, że chyba gdzieś mnie przeniosą, bo dostał polecenie od kierownika działu specjalnego (specja), żeby przygotował dla mnie suchy prowiant na drogę. Dodał jeszcze, że starał się mnie zatrzymać, że byłem dobrym pracownikiem, ale nie miał żadnych szans. Że to polecenie odgórne. Bardzo szkodował, że dobrze mu się ze mną pracowało. Po dłuższej chwili przyszedł strażnik i kazał mi zabrać swoje rzeczy, oczywiście musiałem się przebrać w więzienną odzież. I bardzo przepraszam, tu film mi się urwał, nie jestem w stanie skojarzyć sobie, jakim transportem zostałem przewieziony do więzienia w Sztumie. Na szczęście, dzięki tym opatrnościowym warunkom w Płocku, po prostu byłem tak podreperowany na zdrowiu, nabrałem siły, że po prostu byłem przygotowany fizycznie do nowych warunków, w jakie się dostałem, a były też nie do pozazdroszczenia.

Bardzo ciekawa sytuacja miała miejsce zaraz po moim wejściu na oddział w Sztumie. Sztum był jednym z cięższych więzień w Polsce, toteż rygor był bardzo wysoki. Więźniowie znajdujący się na korytarzu musieli stać twarzą do ściany, ręce trzymać do tyłu, w żadnym wypadku nie wolno było rozmawiać. Kiedy znalazłem się na oddziale w jednym z korytarzy, tak właśnie kazano mi się zachować. Był to korytarz, przy którym wszystkie cele były jednoosobowe, tzw. „pojedynki”. Mina mi naprawdę zrzędła, jak zobaczyłem te pojedynki, drzwi prawie jedne przy drugich, zaraz mi się przypomniała ostatnia „pojedynka” we Wrocławiu. Pomyślałem sobie, wszystko inne, ale nie to... a jednak. Postawiono mnie między dwoma celami i kazano poczekać aż przyjdzie klucznik oddziałowy i zaprowadzi mnie, do którejś z tych cel. Strażnik odszedł, zostałem sam. Na korytarzu była zupełna cisza. Kiedy trochę ostygłem od tego pierwszego wrażenia, doleciał do mnie jakiś głos z celi o jedną dalej, między którymi stałem. Wyteżyłem słuch i usłyszałem słowa jakby jakiegoś kazania religijnego. Pomyślałem, czyżby było w celi radio i leciało kazanie przez radio? Rozejrzałem się ukradkiem, zauważyłem, że nikogo nie ma na korytarzu i szybko jednym ruchem przeskoczyłem o jedne drzwi dalej, obok drzwi, z których dolatywał głos. Mogłem już całkiem wyraźnie słyszeć, że ktoś głośno, wyraźnie mówi wykład biblijny, w dodatku odnosi się do braci i sióstr. Byłem po prostu ścięty z nóg, co tu jest grane. W pierwszej chwili pomyślałem, że to chyba u mnie coś z głową nie w porządku, że coś mi się dziwnego kojarzy. Tu w celi wykład do braci? To było niemożliwe. Tym bardziej, że temat dobrze mi znany, nasz epifaniczny, to przechodziło moje wyobrażenie. Aż wreszcie przysłuchując się dalej, wychwyciłem tam kilka znajomych mi akcentów mówcy i po głosie poznałem, kto to mówi. Był to brat Michał Łotysz, który właśnie siedział w „pojedynce” i nie marnował czasu. Na głos ćwiczył sobie wykłady, żeby nie dostać bzika

w tej samotności. Natomiast obsługa oddziału uznała właśnie, że ten kaznodzieja dostał bzika i sam do siebie głosi kazania. Tu się sprawdziło dawne porzekadło: „jak cię widzą, tak cię piszą”. Szybko, dokładnie zwróciłem też uwagę na numer celi, w której Łotysz siedział. Wcześniej nie wiedziałem, że Łotysz siedział w tym więzieniu. Przeskoczyłem z powrotem na swoje miejsce i uradowany, że nie jestem tu sam i chociaż go nie widziałem, to sama świadomość, że on tu jest, dodawała mi otuchy. Ktoś mógłby powiedzieć, że to był ciekawy zbieg okoliczności. Jestem przekonany, że to nie był zwykły zbieg okoliczności, a raczej opatrnościowy. To trudno było uwierzyć, że około dwóch metrów od Ciebie znajduje się droga Ci osoba, w dodatku nie wie, że tu jesteś. Może to i lepiej było, że Michał nie wiedział, że ja stoję za jego drzwiami, bo na pewno nie obesłoby się bez kilku słów i mielibyśmy obaj z tego przykrości.

Po chwili przyszedł klucznik i byłem przekonany, że wpuści mnie do jakiejś celi obok, on jednak zabrał mnie daleko, na drugi koniec korytarza i też wprowadził mnie na „pojedynek”. Zapoznał mnie z obowiązującym tu regulaminem, wypytał o różne szczegóły: jak długo siedzę, w jakim więzieniu byłem, no i jakbym coś poważnego potrzebował to wybić klapę i czekać aż ktoś przyjdzie (klapa to takie urządzenie sygnalizujące). I znowu zaczęło się „chłodno, głodno i do domu daleko”. Nie było jednak tak, jak we Wrocławiu. Najważniejsze było to, że było w miarę ciepło, okno było szczelne, miałem też dość ciepły koc do przykrycia. Po kilku dniach przyszedł do mnie fryzjer, który obsługiwał ten oddział. Natychmiast pomyślałem, że poprzez fryzjera najprędzej będzie można nawiązać kontakt z Michałem. Z góry wiedziałem, że każdy fryzjer jest kapusiem, ale wiedziałem też, że nie wszyscy jednakowo podchodzą do tej sprawy. Od razu go zapytałem czy zna tego więźnia spod takiego numeru celi (obecnie już tego numeru nie pamiętam!). On uśmiechnął się i powiedział:

„Tego kaznodzieje, kto by Michała tu nie znał?”. Odpowiedziałem mu, że ja siedzę za to samo, co i Michał i że chciałbym nawiązać z nim kontakt, że się dobrze znamy, ale Michał nie wie, że ja tu jestem. Powiedziałem mu, jakim sposobem dowiedziałem się, że Michał tu jest i prosiłem go, żeby sobie zapisał moje nazwisko i przy okazji powiedział Michałowi, że tu jestem, że bardzo mi na tym zależy. Fryzjer znowu się uśmiechnął, mówiąc: „Przecież ja dzisiaj u niego byłem, zaraz coś skombinuję”. Wybił klapę i zaraz przyszedł klucznik. Otworzył drzwi i powiedział: „Co tak szybko? Mówiłem, że masz mu włosy ściąć”. „Wiem” – odpowiedział fryzjer – „Ja jeszcze nie skończyłem, ale zostawiłem pod celą [i tu podał numer celi Łotysza] jakieś narzędzia i musimy tam pójść”. Fryzjer wziął ze sobą tylko brzytwę, bo nie wolno było zostawiać brzytwy w celi i obaj wyszli. Po chwili wrócili i wtenczas powiedział do klucznika, że teraz to mu zejdzie dłużej, klucznik zamknął celę. Wtedy fryzjer mówi: „No, Michał już wie, że tu jesteś i pozdrawia Cię. Teraz przeze mnie będziecie mieli kontakt”. Kiedy przyszedł do mnie następnym razem, to opowiadał, że jak powiedział Michałowi, jakim sposobem dowiedziałem się, że on jest tutaj, to Michał śmiał się, że jednak to głośne kazanie na coś się przydało. I faktycznie, gdyby nie to głośne kazanie to byśmy o sobie nic nie wiedzieli. Niedługo potem Łotysz miał odwiedziny i powiedział, że ja tu jestem. I już następne odwiedziny mieliśmy razem, gdyż przyjechały dwie osoby, jedna do Michała, a druga do mnie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyliśmy się osobiście. Oczywiście nie mieliśmy żadnych szans porozmawiać jednak, choć potajemny i cichy uścisk dłoni, pozwolił odczuć, że to nie sen, ale naprawdę jesteśmy obok siebie. Po pierwszych odwiedzinach zaraz moi rodzice dowiedzieli się, gdzie jestem. Ja nie miałem możliwości napisania listu, a bracia napisali do rodziców, gdzie jestem i że jestem cały i zdrowy. Później jeszcze spotykaliśmy się takim sposobem, tzn. przy okazji

odwiedzin. Mój pobyt w Sztumie w tej „pojedynce” na początku był takim szokiem psychicznym. Dopiero co byłem cały czas zajęty pracą od świtu do nocy, a tu naraz taki obciach, cztery ściany, taboret, łóżko, wiadro z wodą i kibel w kącie. Cella o przestrzeni 6, a może 8 metrów kwadratowych. Jedynym dziennym urozmaiceniem było śniadanie, obiad i kolacja, że można było zobaczyć twarz ludzką czy zamienić słowo lub dwa. Gdyby nie ten kontakt z Łotyszem przez fryzjera, od czasu do czasu, no i sama świadomość, że jest w pobliżu ktoś bliski, z którym musimy jakoś to wszystko przetrzymać, to naprawdę byłoby mi bardzo ciężko.

Muszę się teraz szczerze przyznać, że nie posiadałem ani takich zdolności, ani takiej wiedzy biblijnej, jakie posiadał brat Łotysz. Nie miałem też takich ambicji, jeśli chodzi o wykłady Słowa Bożego. Nigdy też nie myślałem, że kiedykolwiek będę mówił wykłady. To przyszło o wiele później. Z tego też względu nie byłem w stanie tak się zorganizować i zmobilizować jak Michał. I chociaż on był mi bardzo pomocny swoją postawą, to jednak musiałem szukać innych rozwiązań zagospodarowania swojego czasu i myśli, żeby podołać tej presji samotności. Ogólnie więźniowie mogli wypożyczać książki z biblioteki więziennej. Ci jednak, którzy byli na „pojedynkach”, musieli mieć specjalnie pozwolenie z działu specjalnego od kierownika, tzw. specy. Po jakimś czasie zgłosiłem do oddziałowego, że chcę rozmawiać ze specem i zaprowadził mnie do niego. Kierownik przeprowadził pełny wywiad i w końcu zapytał czego potrzebuje. Powiedziałem mu, że bardzo lubię czytać książki, że i we Wrocławiu i w Płocku wypożyczałem książki i tu proszę o pozwolenie na wypożyczenie książek. On zapytał: „Skąd taki pociąg do książek?”. Z lekkim uśmiechem rzekłem, to chyba rodzinne, moja mama bardzo lubiła czytać i zawsze w domu mieliśmy jakieś książki. To był chyba jakiś zagorzały UB-owiec, bo też się uśmiechnął drwiąco i dodał: „To wasze wyznanie, to też chyba

sprawa rodzinna, co?”. Przytaknąłem, a on na to: „To nie dziwie się, że was tak zbałamucili, że zdecydowaliście się na więzienie, ale to wam przejdzie”. Po namyśle powiedział: „Dobrze, dostaniecie pozwolenie, ale najpierw ja wam dam książki, które musicie przeczytać, a raczej przestudiować. Potem przyjdziecie do mnie, porozmawiamy na temat tych książek. Jak egzamin wypadnie pomyślnie, to będziecie mogli wypożyczać książki, jakie zechcecie, a teraz możecie odejść”. Podziękowałem mu i wyszedłem.

U specy byłem zaraz po śniadaniu, a już zaraz po obiedzie oddziałowy otworzył drzwi i podał mi trzy duże książki i dodał: „Masz książki od specy. Chyba ci na długo wystarczą”. Były to nowiutkie książki, na pewno nikt ich jeszcze nie czytał, bo jeszcze niektóre kartki trzeba było rozcinać. Kiedy spojrzałem na tytuły, to aż mi się gorąco zrobiło. Były to: „Marks, Engels i Lenin”, następnie „Leninizm i empirokrytycyzm” i trzecia, coś o Stalinie, już nie pamiętam. Jedna miała 800 stron, druga 1200, a trzecia 600. W dodatku duży format, a dość drobne pismo. Cóż, rad nie rad, zabrałem się do tej lektury. Na wstępie przejrzałem spisy treści, potem podtytuły rozdziałów i w końcu niektóre bardziej interesujące fragmenty i na bieżąco zaznaczałem papierkami z marginesu gazet niektóre cytaty i tym sposobem od samego początku przygotowywałem się do tego, zapowiedzianego przez specy, egzaminu. W trakcie tych studiów pomyślałem sobie, że nawet to niczego sobie wygląda, Łotysz trenuje wykłady, studiuje w myślach Biblię, a ja zawzięcie studiuje politykę marksistowsko-leninowską. No ale tak to chwilowo wyszło. Ponieważ nic więcej nie miałem do roboty, więc penetrowałem te książki i w dzień i w nocy, gdyż miałem lampę na zewnątrz niedaleko, naprzeciw okna. Przez całą noc miałem jasno, a nie mogłem po nocach spać. Chociaż było wiele interesujących fragmentów dotyczących wysiłków człowieka, mających na celu poprawienie warunków bytu ludzi na ziemi

i niektóre założenia Marksa czy Engelsa, a także chęci realizacji tych założeń przez Lenina były naprawdę imponujące, to jednak znajomość nauk biblijnych wskazujących, że niedoskonały człowiek nie jest w stanie zrealizować nawet najlepszych założeń, że wszelkie wysiłki człowieka w tym kierunku są daremne, doszedłem do wniosku, że i studiowanie tego, co jest nierealne, jest bezcelowe. Toteż nie za długo zajmowałem się tymi książkami, niewiele ponad 2 tygodnie.

Znowu poprosiłem oddziałowego, żeby mnie zaprowadził do specy. Nie bardzo chciał, że to niemożliwe, żebym tak szybko, takie książki przeczytał. Uparłem się jednak, że chce ze specem porozmawiać właśnie na temat tych książek i wreszcie się zgodził. Kierownik, jak mnie zobaczył z tymi książkami, spojrzał na mnie z ukosa i zagadnął pierwszy: „I co, może powiecie, że już przeczytaliście?”. Oczywiście byłem przygotowany właśnie na takie pytanie, więc bez żadnego zażenowania odpowiedziałem, że „zagadnienia poruszane w tych książkach są na tak wysokim poziomie społeczno-naukowym, że aby je zrozumieć, to trzeba mieć wyższe wykształcenie. A co może zrozumieć taki chłopak ze wsi, od wideł, po czterech klasach podstawowych i to okupacyjnych. To można dostać pomieszczenia z popłataniem, czytając bez żadnego przygotowania. Dlatego nie powiem, że je dokładnie przeczytałem, ale dość dokładnie je przejrzałem. Niektóre zagadnienia, które byłem w stanie zrozumieć, bardzo mi się podobają”. Spojrzał na mnie badawczo, wziął te książki przed siebie i powiedział: „No to teraz powiedzcie mi coś na ich temat”. Podałem mu kilka spraw, podałem na której stronie i w jakiej książce to jest opisane. Niektóre fragmenty odszukał i odczytał. Było też w każdej książce po kilka zakładek z gazety, zauważył to i powiedział: „Widzę, że naprawdę dobrze je przeczytałeś”. Przeszedł do mnie na „Ty”. Jeszcze trochę podyskutowaliśmy i wtedy pochylił się w moją stronę,

a siedzieliśmy naprzeciwko siebie, za biurkiem i z lekkim uśmieszkiem rzucił mi: „Ty wcale nie jesteś takim prostakiem, jak mówisz”. Oddałem: „Jestem prostym chłopakiem ze wsi i nic na to nie poradzę”. „No, no! Przestań, za to jesteś bystry” – dorzucił. Zahaczyłem go jeszcze o „pojedynek”, „Czy ja jestem aż tak groźnym przestępcą, że muszę siedzieć na pojedynce? Przecież już otrzymałem za swoje przestępstwo 5 lat więzienia, za jaką karę jeszcze ta pojedynek?” – zauważyłem, że się trochę zdenerwował i odburknął: „To wszystko przez tych Świadków Jehowy”. Oczywiście wiedział, że nie jestem Świadkiem. Wreszcie, chcąc zakończył tę rozmowę, zapytałem: „To, co obywatelu kierownikowi? Dostanę to zezwolenie do biblioteki?”. „Tak” – odrzekł – „Możesz wypożyczać jakie chcesz i ile chcesz. W bibliotece będą wiedzieli, o co chodzi”. Jeszcze dodał, że jeżeli rozchodzi się o „pojedynek” to nie od niego zależy, że owszem ma jedną możliwość przenieść mnie na ogólną celę, ale tylko pod jednym warunkiem, że zechcę z nimi współpracować. Myślę, że wiesz, co to znaczy. Skinąłem głową, że wiem. A on jeszcze dodał: „Wiem, że Ty na to nie pójdziesz, więc nawet Cię do tego nie namawiam”.

Na drugi dzień zaraz po śniadaniu przyszedł oddziałowy i zaproponował: „No to co? Idziemy do biblioteki?”. Byłem bardzo zaskoczony: „Bardzo chętnie” – odpowiedziałem, poszliśmy. Wybrałem sobie kilka książek, dwie z nich jeszcze pamiętam: „Budowa i obsługa różnych typów samochodów”, druga – nie pamiętam tytułu – była to dość gruba książka o samolocie dwupłatowym, pospolicie nazywanym „kukuruźnik”. Też budowa i obsługa, pilotaż. Potem dość często wymieniałem książki, ale te dwie długo trzymałem, aż się w bibliotece upominali, czego ich tak długo nie oddaje. Obie techniki mnie interesowały, więc lubiłem do nich wracać. Rozpisałem się o takim byle czym, że aż mi wstyd, no ale cóż... taka była prawda. Taka była więzienna codzienność.

Przesiedziałem na „pojedyńce” jakieś ponad 4 miesiące, dokładnie nie pamiętam. Brat Łotysz dostał się na „pojedynek” dużo wcześniej, toteż o wiele dłużej tam przebywał. Potem była chyba jakaś odwilż polityczna, bo wszystkich z „pojedynek” porozsadzali po ogólnych celach. Nie było nam jednak dane znaleźć się z Michałem w jednej celi. Jedyny nasz kontakt był albo przy odwiedzinach, albo przez fryzjera. Pewnego razu, jeszcze na „pojedyńce”, przyszedł fryzjer do mnie i pierwsze wyjął z kieszeni piękne, duże jabłko i twardego suchara. Powiedział: „To od Michała, masz to dotrzymać do pamiętki, chyba wiesz o co chodzi”. Oczywiście, że od razu zaskoczyłem o co chodzi i byłem wzruszony, że Michał tak o mnie zadbał. Datę pamiętki znaleźliśmy z odwiedzin, ale skąd dostał jabłko? Nie wiem. I tu muszę wspomnieć, że trzy pamiętki spędziłem w więzieniu. Pierwsza we Wrocławiu w bardzo przykrych warunkach i bez emblematów, tylko w duchu i modlitwie. Druga właśnie w Sztumie i jako emblematy miałem: twarde suchar i sok z jabłka, jak na więzienie w tamtych czasach to było coś. Trzeciej pamiętki, szczerze mówiąc, w ogóle nie pamiętam. W jakich okolicznościach i gdzie. Na pewno nie miałem żadnych emblematów, bo by mi coś w pamięci pozostało. W Sztumie kilkakrotnie przenoszono mnie z celi do celi, nigdzie długo nie zagrzałem miejsca. To była taka metoda, żeby nie zawierać bliższych znajomości. W jednej celi, pięcioosobowej, skusiło mnie po raz pierwszy do napisania wiersza. Oczywiście kartką papieru był margines z gazety, ołówek zrobiony z chleba, w końcówkę wetknięty rysik i był to wyśmienity zestaw do pisania. Wiersz, który napisałem był dość długi, kilkanaście zwrotek. To była taka luźna rymowanka na temat więzienia, warunków jakie tam panowały itd. Trochę mi wstyd opisywać niektóre szczegóły z tym związane, ale jak „Wspomnienia z więzienia”, to wspomnienia. To i ta scenka musi się jakoś przemyścić między innymi, choć może naganna.

Choć nigdy nie paliłem, zawsze miałem papierosy. Co miesiąc była możliwa tzw. „wypiska” – kto miał na swoim koncie pieniądze, to mógł sobie wypisać („wykupić”) nieco papierosów i jeden biały chleb. Toteż zawsze wykupywałem sobie chleb, no i papierosy. Chleb, to wiadomo, człowiek zawsze był głodny, wyżywienie było jakie było, ale po co papierosy? Otóż jest takie powiedzenie: „cel uświęca środki”. W tym przypadku miało ono swoje zastosowanie. Kiedy przy końcu miesiąca na oddziale był kryzys z papierosami, to u kalifaktorów (to byli więźniowie, którzy roznosili posiłki) można było wymienić papierosy za chleb. Nie zwracając uwagi na to, czy to było właściwie, czy nie, czy to było dobre, czy złe, dokonywałem takiej wymiany, bo po prostu byłem głodny. Jeżeli dla kogoś papierosy były ważniejsze niż chleb, to dla mnie ważniejszy był chleb. Znowu odbiegłem od tematu, ale te nieszczęsne papierosy mają związek z wyżej zaczętem tematem.

Wiersz, który napisałem, chciałem podać Michałowi przy okazji odwiedzin, ale to było ryzykowne. Natomiast paczkę papierosów mogłem mu podać bez obawy. Wpadłem więc na genialny pomysł. Otworzyłem delikatnie paczkę papierosów, wysypałem z nich tytoń na gazetę, marginesy na których był napisany wiersz zwinąłem w ruloniki takiej grubości, żeby weszły w gilzy po tytoniu. Końcówki powypełniałem tytoniem, żeby nie było widać papieru i dziesięć takich oszukanych papierosów ułożyłem w oryginalnym pudełko, zakleiliśmy i „gryps” był gotowy. Na jednym pasku napisałem kilka słów do Michała i wszystko poszło zgodnie z planem. Za kilka dni mieliśmy odwiedzin, udało nam się stanąć na korytarzu obok siebie. Potajemnie między sobą uścisnęliśmy sobie dłonie, ja miałem w ręce tę paczkę papierosów i przy uścisku podałem mu. Szybko odstaąpiliśmy od siebie i wszystko się udało. Łotysz był już w celi wieloosobowej. Kiedy wrócił do celi, wyjął z kieszeni papierosy, zastanawiał

się, co to ma znaczyć. Czyżbym z nudów zaczął palić? Rozłożył całkiem pudełko z myślą, że może na wewnętrznej stronie jest coś napisane. Jednak nic nie znalazł, wychodził więc z siebie, w jakim celu podałem mu te papierosy. W końcu zdecydował rozdać te papierosy współwięźniom. Wiadomo, że nikt z więźniów nie pali całego papierosa. Tylko dzieli przynajmniej na cztery. Jeden z więźniów chciał podzielić otrzymanego papierosa i okazało się, że nie da się go złamać, że wewnątrz jest coś twardego. Zwrócił się do Michała, że wewnątrz coś jest i dopiero wtedy Michał zaskoczył o co chodzi. Zabrał z powrotem te papierosy i po ich rozebraniu wszystko stało się jasne. Okazało się, że pomysł był dobry, chociaż korzyści zapewne niewiele, poza tym, że się wszyscy dobrze ubawili.

Mnie znowu przenieśli na inną celę, było nas dziesięciu. Zawsze kiedy dostawałem się na inną celę to była ta sama śpiewka. Za co siedzisz, skąd jesteś, ile masz do odsiedzenia itd. Kiedy mówiłem za co siedzę, to zaraz rozwijała się dyskusja na religijny temat. W celi był magister prawa, był bardzo zagorzałym katolikiem, toteż do mnie bardzo ordynarnie się odnosił. Nawymyślał mi od wszystkich świętych, chwilami też nie zostawałem mu dłużny. W końcu doszedłem do wniosku, że nie warto rzucać pereł przed świnie i w ogóle zaniechałem dyskusji na tematy religijne. Z tym magistrzem w ogóle nie odzywaliśmy się, zresztą w ogóle nie był zbyt lubiany w celi, był bardzo taki „co to ja”. Pewnego dnia po obiedzie, wprowadzono do naszej celi jeszcze jednego więźnia, faktycznie, to było jeszcze jedno łóżko wolne. Ten człowiek był bardzo zdenerwowany, więc zapytano go, co się stało, że jest taki roztrzęsiony. Zaczął opowiadać, że jest księdzem, że był w celi, gdzie było kilku Świadców Jehowy i do tego stopnia nie dawali mu spokoju, że musiał prosić o przeniesienie do innej celi. Nasz magisterek szybko podszedł do księdza, podał mu rękę,

przedstawił się „magister prawa” i po cichu szepnął księdzu, że tu też jest jeden Świadek, wskazując na mnie. Ten biedaczysko spojrzał na mnie i aż pobladł. Pewnie sobie pomyślał, że wpadł z deszczu pod rynnę. W końcu witając się ze wszystkimi, podszedł i do mnie. Bardzo przyjaźnie uściśnąłem mu dłoń, patrząc mu w oczy też tak przyjaźnie, jak tylko mogłem. On jakby nieco dłużej przytrzymał moją dłoń i zauważyłem, jakby odetchnął z ulgą. Chyba z myślą, że z mojej strony nic takiego go nie spotka. Na razie starałem się unikać drażliwych dyskusji, choć inni więźniowie mnie do tego prowokowali, koniecznie chcieli posłuchać mojej dyskusji z księdzem o religii. Kilka razy rozmawiałem z księdzem na takie luźne tematy, ale nie poruszałem spraw religijnych. Chciałem utwierdzić księdza w przekonaniu, że nie mam zamiaru atakować go jak Świadcowie. Zauważyłem też, że ksiądz ma Biblię i pewnego razu zapytałem czy pozwoliliby mi trochę poczytać, chętnie się zgodził i dodał, że mogę ją mieć przy sobie dokąd zechcę. Skorzystałem z tego i przez jakiś czas czytałem sobie, właściwie to wyszukiwałem sobie niektóre teksty mając nadzieję, że kiedyś dojdzie jednak do jakiejś poważnej rozmowy. Czytając Biblię często pytałem księdza jak taki czy inny fragment rozumieć, starał się jakoś po swojemu odpowiedzieć. Okazało się, że tej książki chyba nikt nigdy nie czytał albo bardzo mało. Była to nowa, w ogóle nie rozłamana książka. Kiedy odszukiwałem sobie niektóre teksty, to zawsze to miejsce przeciągałem tak, że to miejsce bardziej się rozłamało. Kiedy to miejsce drugi raz chciałem otworzyć, to ono prawie samo się otwierało (miałem to wypróbować na tych „marksistowsko-leninowskich”, nowych książkach). Takich miejsc w Biblii powstało wiele. Pewnego razu zwróciłem się do księdza, że może już oddam mu Biblię, że może on zechce trochę poczytać. On odpowiedział: „Chyba, że już Ci się sprzykrzyło czytanie, to możesz oddać”. Odparłem, że czytanie Biblii nigdy się nie sprzykrzy,

ale im więcej czytam, tym bardziej mnie język swędzi, żeby porozmawiać z księdzem na jej temat. Ksiądz na to, że z chęcią możemy porozmawiać. Powiedział, że wie, że nie jestem katolikiem i sam jest ciekaw, jaka jest różnica między „naszą” i „waszą” wiarą. Już wcześniej dogadaliśmy się, że nie jestem Świadkiem. Z tym magistrem cały czas byliśmy na dystans, natomiast z księdzem byliśmy bardzo blisko, z czego magister był niezadowolony, bo on nie odstępował księdza ani na krok.

Wreszcie doszło do poważnej rozmowy z księdzem. Spokojnie, ale do rzeczy poruszyliśmy wiele spraw. Trudno, a nawet niemożliwe byłoby mi powtórzyć tę naszą rozmowę. Muszę jednak nadmienić, jak bardzo przydało mi się to przewertowanie Biblii. A szczególne wrażenie wywarło to techniczne przygotowanie samej Biblii. Ja przecież prawie dokładnie wiedziałem, gdzie która księga jest umieszczona. A ponieważ przytaczałem wiele tekstów, więc otwierając Biblię, kładłem palec mniej więcej w miejscu, gdzie dana księga i tekst powinny się znajdować, a ponieważ w tych miejscach w wielu przypadkach Biblia była świeżo rozłamana to wielokrotnie prawie sama się otwierała tam, gdzie chciałem. Czasami trzeba było przerzucić kartkę albo dwie w tę czy w inną stronę, a czasami nie; to było największym zaskoczeniem i dla słuchaczy, i dla rozmówcy. Niektóre teksty sam odczytywałem, niektóre prosiłem księdza żeby odczytał. Niektórzy słuchacze też się włączali do rozmowy, ale magister nie brał udziału, obserwował tylko dość nachmurzony. Rozmowa trwała dość długo. Po wielokrotnym tym magicznym otwieraniu Biblii, przy końcu rozmowy magister nie wytrzymał. Nie wiem co miał na celu. Czy chciał zakończyć rozmowę, czy skorzystać z okazji i ze mną się pojednać? Wtrącił się do rozmowy i trochę zmienionym głosem, ale dość głośno powiedział: „Bardzo przepraszam, że się wtrącam, ale przysłuchując się i przyglądając tej rozmowie, nie mogę pojąć jak można tak bezbłędnie

posługiwać się Biblią? Przecież ona prawie sama się otwiera tam, gdzie chcesz, czemu Ty nam nie powiedziałeś, jakie masz wykształcenie?” Dla niego bardzo ważne było wykształcenie i tylko dla takich miał szacunek (chcę zwrócić uwagę, że umownie wszyscy mówiliśmy sobie na „Ty”). Ja odciąłem się: „Co tu ma do rzeczy wykształcenie? Biblia nie jest podręcznikiem żadnej szkoły świeckiej, żeby się można było nauczyć posługiwania się nią”. Ksiądz zagadnął: „A tak naprawdę, to jakie masz wykształcenie?” Odpowiedziałem, że jakąkolwiek wersję wam powiem to, jak widzę, żadna dla was nie będzie wiarygodna. Pierwsza wersja to bardzo naciągane podstawowe, jak już mówiłem, cztery klasy podstawówki okupacyjnej i trzymiesięczny kurs dokształcający, co mi dało świadectwo ukończenia siedmiu klas i to wszystko. Uważacie, że to nie jest prawda. A teraz jeżeli wam powiem, że oprócz tej podstawówki mam za sobą piętnaście lat Studiów Teologicznych też powiecie, że to nie prawda, bo nie ma piętnastoletnich szkół teologicznych, więc i ta wersja jest niewiarygodna. Ksiądz szybko zapytał: „To powiedz nam, jak jest naprawdę!”. Odpowiedziałem: „Czy chcecie wierzyć, czy nie, obie wersje są prawdziwe. Jak powiedziałem mam naciąganą podstawówkę i mam piętnaście lat Studiów Teologicznych. Z tym jednak, że choć pochodzę z Lubelskiego nie studiowałem na KUL-u (Katolickim Uniwersytecie Lubelskim), ale w domu w zabitej dechami wiosce koło Tomaszowa Lubelskiego. Przy pomocy rodziców, mając siedem lat, zacząłem czytać Biblię. Właściwie na Biblii nauczyłem się czytać drukowane pismo i do tej pory ją studiuje. Moje wyznanie powszechnie nosi tytuł ‘Badacze Pisma Świętego’. Właśnie systematyczne i staranne studiowanie Biblii, jest w stanie doprowadzić do takiej perfekcji posługiwania się Biblią. Żadne inne wykształcenie tego nie nauczy, chyba więcej komentarza nie potrzeba” – zakończyłem. Magister mruknął: „No tak, teraz

to wszystko jasne”, a ksiądz jeszcze dodał: „No cóż, można tylko pogratulować.”. Magister przeproszał, że wcześniej tak źle mnie potraktował, „nie ma sprawy” – odparłem.

Niedługo potem mnie znowu przenieśli do innej celi, też było nas kilkunastu. Większość więźniów w tej celi siedziała za nielegalne posiadanie broni, prawie wszyscy mieli po pięć lat, taka była wtenczas stawka za takie przestępstwo. Ale większość z nich już mieli sporo odsiedziane. Moje pięć lat z kolei było za to, że nie chciałem przyjąć broni. Tak było źle, a tak nie dobrze, ale cóż, takie były czasy. Któregoś dnia oddziałowy otworzył celę, to było zaraz po śniadaniu, z nim był jeszcze jakiś cywil. Według zwyczaju stanęliśmy wszyscy na baczność w szeregu, ten cywil po kolei pytał: „Za co siedzisz?”. Większość odpowiadała: „Za broń”, dodawał: „Zabieraj czapkę, marynarkę i wychodź”. Nikt nie domyślał się, co jest grane. Kiedy podszedł do mnie i zapytał: „A Ty za co siedzisz?” bez namysłu odpaliłem: „Za broń”, też kazał wziąć czapkę, marynarkę i wychodź. Na korytarzu już stało kilka osób z innych cel. Wyprowadzono nas na plac przed główną bramą, dokładnie policzono nas i wyprowadzono przez główną bramę na zewnątrz. Tam stało czterech strażników z bronią, stał też ciągnik z dużą przyczepą z wysokimi burtami, weszliśmy wszyscy na tą przyczepę i jechaliśmy chyba więcej jak godzinę. Okazało się, że zawieźli nas do PGR-u („Państwowe Gospodarstwo Rolne”) do omlotów. Podwieźli nas pod potężną stertę zboża, stał tam duży agregat omlotowy. Porozstawiano nas na stanowiska pracy, poinformowano co, który i jak ma robić i zaczęła się młócka. Była krótka przerwa, dano nam obiad na stolówce i znowu do pracy, aż do dobrego zmierzchu. Następnie kolacja i wieczór z powrotem za kratki. Tak było następnych parę dni. Pogoda była bardzo ładna, to w pierwszy dzień ta praca była bardzo przyjemna, ale na drugi dzień żaden z nas nie mógł

rękami ruszać. Mnie jednak dosyć szybko pozbawiono tej przyjemności. Któregoś dnia przyszedł ten cywil co zawsze, wywoływał już po nazwisku z listą w rękę. Kiedy doszło do mnie zatrzymał się i zapytał: „A ty czego skłamałeś, że siedzisz za broń? A ja tu mam zaznaczone, że siedzisz za niewykonanie rozkazu i nie mogę Cię wziąć do pracy.” Odparłem mu, że wcale nie skłamałem, bo oni siedzą za to, że nielegalnie posiadali broń, a ja siedzę za to, że nie chciałem przyjąć broni w wojsku, co za różnica i tak za broń, i tak za broń. Zaczął się bardzo śmiać: „Ale mnie zrobiłeś w konia, mimo wszystko z tym artykułem nie możesz iść do pracy”. Dodałem jeszcze żartem: „Szkoda, bo właśnie dziś planowałem ucieczkę”. Spojrzał na mnie, pogroził palcem: „Tylko mi nie żartuj” i skończyła się moja praca. Chyba to prawda, że kłamstwo ma krótkie nogi i daleko nie zajdzie.

Gdzieś w środku zimy pojawiła się pogłoska, że szykują duży transport do kopalni. Wszyscy łudziliśmy się, że może wreszcie uda się wydostać z tej wysokiej zagrody. Nie było jednak wiadomo na kogo trafi i kiedy. Pewnego dnia znowu chodził po celach jakiś facet w mundurze z listą i wyczytywał niektóre nazwiska, moje nazwisko też było na tej liście. Zabrano nas z dwudziestu, pełną dużą więźniarkę i pojechaliśmy w nieznane. Niedługo jechaliśmy i okazało się, że przewieźli nas do Elbląga. W Elblągu też była gadka, że przygotowują transport do kopalni, więc była jaka taka nadzieja, że coś się zmieni. Siedzieliśmy w Elblągu ponad dwa tygodnie, nie było już takiego rygoru, jedzenie było trochę lepsze, ale na Śląsk do kopalni było jeszcze daleko. Znowu któregoś dnia wsadzono nas do więźniarki i odwieziono do Gdańska. Dla mnie to było już szóste z kolei więzienie. W Gdańsku były zupełnie inne warunki. W celi była bieżąca woda, rano i wieczór była też ciepła woda. Była muszla sedesowa, było to jakieś progresywne więzienie. Wyżywienie było jeszcze lepsze i w ogóle atmosfera była zupełnie inna.

Okazało się, że to był taki punkt zbiorczy do transportu na Śląsk. Po kilku dniach i zebraniu więźniów z kilku więzień północnej Polski, odwieziono nas więźniarkami na stację kolejową, załadowano do dużego wagonu więźniarki i zawieziono nas na Śląsk. Nie pamiętam do jakiej stacji. Stamtąd znowu samochodami więźniarkami przewieziono nas do ośrodka rozdzielczego. To więzienie chyba nazywało się Radocha, już dokładnie nie pamiętam tych okoliczności. Tam przebywaliśmy kilka dni i stamtąd kolejno po kilka osób rozdzielano na różne kopalnie. W tych właśnie dniach miało miejsce historyczne wydarzenie, zmarł „Generalissimus” Stalin (w tym czasie Katowice miały nazwę „Stalinogród”). Z tej okazji zrobiono nam zbiorową, masówkę. Na dużą salę wprowadzono kilkaset osób, oczywiście kilkunastu strażników. Na mównicę wszedł jakiś Spec. Wygłosił niezbyt udane przemówienie, jaką to stratę ponieśliśmy z powodu śmierci tak wielkiego przywódcy. Z jego miny wyglądało, że sam nie bardzo wierzy w to, co mówi. Na koniec zarządził minutową ciszę dla uczczenia pamięci Stalina. Bardzo różna była reakcja więźniów. Po kilku sekundach ciszy, rozszalała się burza przeraźliwych gwizdów, śmiechów. Zrobił się wielki tumult. Ten spec starał się zachować poważną minę, w końcu nie wytrzymał, sam zaczął się śmiać, zszedł z trybuny i zniknął. Po chwili uspokoiło się i poprowadzono wszystkich do celi i tak zakończyła się ta uroczysta masówka.

Po kilku dniach wreszcie i mnie przydzielili do kopalni „Pokój” w Nowym Bytomiu. Był tam „Ośrodek Pracy Więźniów” (O.P.W.), ponad osiemset osób było tam ulokowane. Były dość już stare drewniane baraki, obok była piękna, nowo wybudowana, murowana duża stołówka wraz z nowoczesną kuchnią. Do ośrodka przybyło nas kilku nowych i dopiero chyba po dwóch dniach pierwszy raz zjechaliśmy na dół. Oczywiście przy pierwszym zjeździe wypłatano nam nielada figła. Obsługa szybu wiedziała, że zjeżdża grupa po raz

pierwszy, toteż nie dość, że maszynista opuszczał szolę (winda kopalniana) z bardzo dużą szybkością, to do tego jeszcze któryś ze starszych pracowników krzyknął w najszybszym momencie: „Uwaga, bo zakręt!”, a my ze strachu nie wiedzieliśmy, o którą ścianę szoli się oprzeć, żeby nie wypaść. Dopiero jak zaczęli się z nas śmiać zaskoczyliśmy, że przecież w szybie nie ma zakrętów, że to taki gruby kawał. Jak wyszliśmy z szoli w uszach strasznie zaszumiało, była duża zmiana ciśnienia, bo to bądź co bądź było kilkaset metrów pod ziemią. Po chwili wszystko się unormowało. Na pierwszej szychcie (dniówce) prawie nie pracowaliśmy, zapoznawano nas z urządzeniami, z miejscami pracy, a przede wszystkim z zasadami bezpieczeństwa. Pisząc o sobie muszę powiedzieć, że byłem po prostu oszołomiony ogromem węgla. Byłem zawsze przekonany, że węgla jest mało i dlatego jest taki drogi, a tu się okazało, że gdzie się nie obejrzyysz, wszędzie węgiel, mnóstwo węgla. Nie mogłem pojąć, że tak głęboko pod ziemią takie bogactwo. Wcześniej nie miałem żadnego pojęcia o kopalni i węgla. W ogóle to bardzo mi się spodobała praca na dole.

Praca w kopalni była trzyzmianowa. Mnie jednak przydzielono do grupy przygotowawczej, która pracowała tylko na nocnej zmianie, od dziesiątej wieczór do szóstej rano. Nasza praca polegała na dowiezieniu drzewa na zabudowę wyrobisk, przebudowa urządzeń transportujących przy ścianach wydobywczych tak, żeby były gotowe transportować odstrzelony węgiel na następnych zmianach oraz prace porządkowe. Okazaliśmy się bardzo dobraną grupą, było nas pięciu, był z nami facet nazywał się Konopko, też Jurek i na mnie wołano Jerzy, a na niego Jurek. Był zawodowym kierowcą, był bardzo zdolny, umiał dobrze zorganizować pracę, toteż wysunęliśmy go na brygadzystę. Był bardzo pomysłowy, ja też lubiłem coś pokombinować. Nieraz obaj tak przemyśleliśmy jakieś ułatwienie w pracy, że wykonaliśmy dużo więcej

roboty w o wiele krótszym czasie, potem mieliśmy więcej czasu na odpoczynek czy pogawędkę. Zaraz na początku naszego zatrudnienia kopalnia zorganizowała kurs na elektryków dołowych, tzw. „elektrykarzy”. Też zapisałem się na ten kurs. Ten kurs odbywał się w naszym ośrodku i był tylko dla więźniów. Bardzo lubiłem te zajęcia, gdyż na nich zapoznałem się prawie ze wszystkimi urządzeniami elektrycznymi, pracującymi w kopalni. W ogóle tam zdobyłem wiedzę o energii elektrycznej, o jej użyteczności i zastosowaniu, o czym wcześniej nie miałem żadnego pojęcia co na przyszłość było bardzo przydatne. Nie będę opisywał szczegółów naszej pracy na dole, bo to za obszerny temat. W grupie nam się bardzo dobrze układało, nawet pewnego razu „nadgórnika”, który nas dozorował, powiedział, że z taką grupą aż chce się pracować.

Wróć jeszcze na chwilę do śmierci Stalina. Otóż po tym fakcie, sytuacja polityczna na świecie dużo się zmieniła. Zimnowojenne napięcie zmniejszyło się i w Polsce też dało się to odczuć. Ogłoszono częściową „amnestię” i chociaż to było więcej krzyku jak korzyści, jednak zawsze coś. Jedni skorzystali więcej, inni mniej, w zależności od przestępstw i od wyroku. Kilku więźniów w krótkim czasie wyszło na wolność. Innym zmniejszono wyroki na mocy tej amnestii. Mnie też zmniejszono chyba o półtora roku, cztery miesiące pracowałem na dole, to liczono dzień za dwa tak, że w sumie zmniejszył mi się wyrok o całe dwa lata. Była więc jaka taka nadzieja wyjścia na wolność. Pozostało mi jeszcze kilka miesięcy do odsiadki. Tak się złożyło, że tej reszty czasu już nie zjeżdżałem na dół, gdyż zostałem zatrudniony w samym Ośrodku. Jest takie powiedzenie „czego się wcześniej nauczyłeś, w przyszłości jak znalazł”. Tak też było i ze mną.

Pierwsze zetknąłem się ze stołówką i kuchnią zbiorowego żywienia w wojsku w Krotoszynie. Tam podglądałem wiele rzeczy, które później przydały mi się w Płocku w kuchni. Natomiast w Płocku zrobiłem,

że tak powiem, pełny kurs kucharski, który zaowocował tu w Ośrodku Pracy. Wyżywienie w ośrodku było dobre, ale nie zawsze dobrze przyrządzone. Często mówiłem kolegom, że ci kucharze nie za bardzo się starają, że ja bym im pokazał, jak się dobrze gotuje, ale to nie była moja sprawa, byłem za bardzo zafascynowany pracą na dole. Pewnego jednak razu nie wytrzymałem. Dość często była podawana ryba, zawsze był to dorsz, albo wędzony na śniadanie, albo na obiad smażony w cieście. Wędzony jeszcze był jako tako tolerowany, ale ten smażony w cieście był niedobrze przyrządzony. Nieczyszczony, dobrze nie wypłukany i nic nie doprawiony. Taki jak był, umoczony w cieście i usmażony w oleju na rumiano. Z zewnątrz wyglądało to apetycznie, ale wewnątrz to było nie do zjedzenia. Toteż więźniowie rzucali tymi dorszami po stołówce, że aż żal było patrzeć, jak taka dobra żywność, a tak się marnuje. Bardzo lubiłem rybę, to zawsze coś tam wydłubałem z niej. W Płocku na kuchni też dostawaliśmy od czasu do czasu dorsze, przyrządzaliśmy je na kilka sposobów i te sposoby były mi dobrze znane, zawsze ryba była smaczna. Przy pewnej okazji obiadu dorszowego, podszedłem do kierownika kuchni i zwróciłem mu uwagę, dlaczego pozwala na takie marnotrawstwo. Przecież z takiej ryby można zrobić takie smaczne danie, że palce lizać czy kucharzom się nie chce czy nie potrafią nic smacznego ugotować? Kierownik się zmieszał i powiedział dość szorstko: „A ty potrafisz coś lepszego zrobić?”. „Żeby kierownik wiedział, że potrafię” – odparłem. A on dodał: „Takiś mądry, to następnym razem, jak będzie dorsz, to ja cię zwolnie na trzy dni, wezmę na kuchnię i pokażesz, co potrafisz”. Zgodziłem się na tę propozycję, zapisał sobie moje nazwisko. Nawet nie myślałem, że to może być realne. Jednak po kilku dniach kierownik zawołał mnie i oznajmił, że dzisiaj nie zjeżdżasz na dół, zaraz przychodź na kuchnię, bo dorsze przywieźli. Byłem bardzo zaskoczony, ale słowo się rzekło,

zgodziłem się. Zgodziłem się dlatego, że chciałem im po prostu pokazać, że można z dorsza coś dobrego zrobić. Nie bałem się tego, bo wiedziałem, że stać mnie na to, gdyż miałem doświadczenie z Płocka. Powiedział mi jeszcze, że mam trzy dni wolnego, które mi policzą, że bumelki nie będzie. Zapytałem go, czy mają cebulę i jakieś przyprawy, odparł, że wszystko jest i jutro na szóstą mam być na kuchni. Tak więc zamiast noc na dole w pracy, to spokojnie noc przespaliśmy w łóżku. Rano już przed szóstą byłem w kuchni. Kiedy kucharze się schodzili, kierownik im wyjaśnił, że są skargi na kucharzy, że nie umiecie nic smacznego z dorsza zrobić, większość się marnuje i jakby wpadła inspekcja, to by mnie ukarali za takie marnotrawstwo. Dlatego przyproceedziłem tu człowieka, który wam pokaże na jakie sposoby można przyrządzać dorsza. Dobrze się przyjrzyjcie, co wam każe to mu pomóżcie, żeby już więcej takich scen nie było, że na stołówce się rzucają dorszami, bo są nie do zjedzenia. Kierownik zwrócił się do mnie: „Tu masz dwie beczki dorszy i to do twojej dyspozycji. Mają być na jutro na obiad”. Starszy kucharz jak kierownik już odszedł, podszedł do mnie i mówi: „Co ty tu człowieku nawojujesz?” Był to jakiś starszy facet, na pewno po pięćdziesiątce. Spokojnie mu odpowiedziałem, że wielokrotnie przyrządzałem tę rybę, że pracowałem w kuchni w więzieniu w Płocku przez kilka miesięcy. „Proszę się nie obawiać, wszystko będzie dobrze, proszę tylko pomóżcie co będzie trzeba”. Otworzyliśmy beczki, wysypaliśmy ryby do dużej wanny. Ryba była naprawdę świeża, tylko miała taki naturalny morski zapach. Zalaliśmy wodą, kopyścią kilkakrotnie przemieszałem, spuściłem wodę i zalałem jeszcze raz. Po kilku godzinach zrobiłem powtórkę, ale już dodałem parę kilogramów soli. Poprosiłem też o kilka kilogramów cebuli, dużą paczkę pieprzu zielenego, drugą czarnego i jeszcze jakąś przyprawę, już nie pamiętam jaką. W magazynie było pod dostatkiem różnych przypraw. Pomogłem kucharzom przy obiedzie,

była jakaś zupa, ziemniaki i gulasz wieprzowy. Po obiedzie poprosiłem, żeby mi pomogli obrać cebulę, powiedziałem: „Jak się boją cebuli, to ja już sam pokroję”, że mam na nią sposób, żeby nie piekło w oczy. Śmiali się ze mnie, że tyle cebuli na pewno nie dam rady sam pokroić. Tym bardziej, że był to bardzo ostry gatunek. Moja metoda polegała na tym, że stawiałem na stole dwie świece zapalone przed deską do krojenia. W czasie krojenia cebuli to piekące powietrze unosiło się przy pomocy ruchu powietrza, jakie dawały świece, gdyż wiadomo, że ciepłe powietrze unosi się do góry. Pokroiłem wszystką cebulę bez płaczu. Wszyscy byli zaskoczeni i pytali, gdzie się tego nauczyłem, zaśmiałem się: „Mama mnie tego nauczyła”. Następnie wziąłem się za czyszczenie ryb, dobrze się czyściło łyżką, przeciągając po wnętrzu ryby. Po dokładnym oczyszczeniu, jeszcze trochę posoliłem, dodałem wszystkie przyprawy i pokrojona w talarki cebulę. To wszystko było kilka razy dobrze przemieszane i pozostawione na noc. Na drugi dzień ta cała porcja została jeszcze raz dobrze przemieszana, żeby odparowało z nadmiaru zapachu tych przypraw i przed obiadem wzięliśmy się do smażenia. To smażenie to nie było, jak tradycyjne smażenie na patelni. W dużych brytfannach zawierających przynajmniej 20 litrów oleju każda, a było ich dwie, do rozgrzanego oleju wkładano ryby za ogon jak paczki. Ryba bardzo szybko rumieniła się, trzeba było też szybko obrócić na drugą stronę, do tego były takie duże szczytce z szerokimi końcami. I to bardzo sprawnie szło. Wyjmowało się je na inną brytfankę z taką wstawką-cedzakiem, żeby olej ściekł z tych porcji. Zrobiliśmy najpierw jedną partię na spróbowane. Kierownik nie odstępował ni na krok, chcąc zobaczyć co z tego wyjdzie. Tu muszę dodać, że inna ryba nie dałaby się tak zrobić bez żadnego panierowania, a dorsz się do tego nadaje. Po spróbowaniu wszyscy orzekli, że to jest naprawdę zjadliwe i smaczne i że to warte zachodu,

bo na stołówce na pewno pójdzie. Najbardziej był zaskoczony kierownik, przyglądał się mojemu podejściu w kuchni do wszystkiego. Odezwał się do mnie: „Toż ty jesteś z kuchnią za pan brat! Gdzie się tego nauczyłeś?”. Wreszcie przyznałem się i jemu, że pracowałem w więzieniu, w Płocku, przez kilka miesięcy w kuchni. Że byli tam bardzo dobrzy kucharze i poznałem wszystkie tajniki kucharskie. On dodał: „Ja widzę, że ty się czujesz w kuchni, jak u siebie w domu”. Usmażyliśmy resztę tych dorszy, ale kilkanaście zrobiłem w cieście, żeby pokazać, że taka też jest smaczna, ale musi być dobrze wyczyszczona i do smaku przyprawiona. Okazało się, że z tego sposobu smażenia nie było nic do odrzucenia, oprócz ości i kości. Zostawiłem też z dziesięć największych egzemplarzy, przepuściłem przez maszynkę od mielenia mięsa. Była taka duża „trzydziestka dwójka”. Farsz jeszcze trochę lepiej doprawiłem, dodałem jajka i zrobiłem kilkanaście kotletów mielonych z ryby. Otoczyłem je w tartej bułce. Powiedziałem kierownikowi, że na stołówce największe wzięcie mają właśnie takie kotlety z dorsza. Tylko, że to jest bardzo dużo i ciężkiej pracy. Bo aby dwie beczki dorszy zemleć na ręcznej maszynce, to nie taka prosta sprawa. Jednak po usmażeniu i spróbowaniu tych kotletów, kierownik powiedział, że muszą być takie kotlety na stołówce. Tak wszystkim smakowały i ocenili, że prawie się nie różnią od mięsnych. Z mięsa dość często kucharze robili mielone. Powiedziałem kierownikowi, że mnie już na kuchni nie będzie, ale ja mam nocną zmianę to w dzień przyjdę, jak kierownik pozwoli i pomogę kucharzom przygotować. Kierownik się uśmiechnął i powiedział: „Pozwolę, pozwolę”. Pojadłem sobie pysznej ryby w różnych podaniach, wziąłem kilka kotletów na swoją celę dla chłopaków na kolację i myślałem, że to koniec pieśni. Nockę jeszcze miałem wolną, rano już na kuchnię nie szedłem.

Koło południa przyszedł na salę strażnik, ja leżałem sobie na łóżko. Zawołał mnie, że komendant ośrodka mnie wzywa. Pomyślałem: „Pewnie będzie dywanik za te trzy dni, że nie zjechałem na dół”. Okazało się, że to zupełnie coś innego. Komendant, niski ale dość przy sobie mężczyzna w stopniu sierżanta, zaproponował mi stałą pracę w kuchni. Okazał się bardzo uprzejmy, choć nie zawsze takim był. Dodał jeszcze, że kierownik kuchni schwalił mnie, że sobie bardzo dobrze radzę w kuchni, że pracowałem w więziennej kuchni i dobrze się znam na wszystkim. „To prawda, komendancie” – odpowiedziałem – „Bardzo też lubię pracę w kuchni, ale na dole liczą mi się dzień za dwa, a w kuchni nie. Pracując w kuchni będę musiał parę miesięcy dłużej siedzieć, a po drugie bardzo mi się podoba praca na dole”. Spoważniał nieco i otworzył jakąś grubą teczkę, w niej chyba były dane więźniów przebywających w tym ośrodku. Powiedział: „Z tego, co widzę, to miałaś wyrok 5 lat, to już i tak na mocy amnestii i z tego, co pracowałeś na dole, masz zmniejszone o 2 lata. Ja nie chcę Cię zmuszać, choć mogę to zrobić, wolałbym żebyś dobrowolnie się zgodził, bo ja bardzo często przychodzę na kuchnię i chciałbym, żebyśmy sobie przyjaźnie w oczy patrzyli”. Nie miałem wyboru, bo też nie chciałem draki z komendantem, więc się zgodziłem.

Komendant był zadowolony, nie kazał mi już zjechać na dół, tylko zaraz od niego iść na kuchnię, zameldować kierownikowi, że się zgadzam. Kierownik się ucieszył, tylko starszy kucharz był jakiś taki zmieszany. Chyba myślał, że będę rywalizował z nim o stanowisko starszego kucharza, ale ja wcale nie miałem takiego zamiaru. Kierownik zaraz poszedł do magazynu, przyniósł mi nowiutkie białe ubranie, fartuch, biały kitel na głowę, umundurował mnie na kucharza. To było już drugie pasowanie na kucharza, pierwsze w Płocku, a teraz drugie. Trzeba zatem było

przebrać się w to białe ubranie, zakasać te białe rękawy i brać się do roboty.

Właściwie to był już ostatni etap mojej więziennej tułaczki i mógłbym już zakończyć te wspomnienia, ale jak już wcześniej zauważyłem, że życie składa się nie tylko z ważnych i ciekawych wydarzeń, ale i z tych drobnych, mało znaczących, które bardzo często są przyczyną tych ważnych i ciekawych wydarzeń. Dlatego może jeszcze niektóre drobiazgi opiszę. Dotąd jeszcze nic nie wspomniałem o moich kontaktach ze światem zewnętrznym, z rodzicami. Zaraz w pierwszych dniach pracy na dole, poznałem górnika z wolności, uczciwy człowiek i podałem przez niego list do rodziców, gdzie się znajduję i jaka u mnie sytuacja. Rodzice nie byli w stanie mnie odwiedzić, ale dali znać do braci na Śląsku, także do cioci, siostry taty, która mieszkała w Bytomiu – miała blisko do mnie. Ciocia była metodystką i była bardzo przeciwna temu, że ja się zdecydowałem na więzienie, mimo to, pierwsza przyjechała w odwiedzinę. Odwiedziny tutaj były w zupełnie innym stylu niż w więzieniach. Swobodnie, przy stole, można było po ludzku się przywitać, spokojnie porozmawiać. Strażnik prawie się nie interesował, jak i o czym kto rozmawia. Po prostu były to przyjemne spotkania. Można było przynieść słodczyce czy jakąś wędlinę. Odwiedziny były raz na miesiąc, natomiast jak już pracowałem na kuchni, to miałem odwiedziny nieograniczone. Najczęściej miałem odwiedziny w niedzielę po południu. Zawsze miałem odwiedziny w osobnym pokoju, nikt nam nie przeszkadzał. Raz się tak przydarzyło, że miałem 5 odwiedzin jednego dnia. Ta moja swoboda wynikała z dobrych stosunków z komendantem. Każdą wizytę musiał podpisać komendant, ale do mnie to komendant powiedział strażnikowi na bramce, że jak ktoś przyjdzie do mnie, to bez podpisu możesz wpuścić do pokoju odwiedzin. Zawiadamiano mnie na kuchni, że mam gości, prosiłem kucharzy, żeby mnie zastąpili i szedłem na odwiedziny.

Tak już miałem do końca kadencji, nie było takiego tygodnia, żeby ktoś u mnie nie był. Zazdrościli mi, że tak blisko mam taką dużą rodzinę. Ale dość tych odwiedzin, wracam do kuchni.

Pewnego razu przyszedł komendant do kuchni, zrobić sobie śniadanie. Dość często przychodził, przywiózł dwa jajka, cebulę, kostkę masła, żeby mu usmażyć jajecznicę. Zawsze mu robił starszy kucharz, a tym razem zwrócił się do mnie, żeby mu zrobić jajecznicę. „Ale chciałbym taką miękka, zawsze mi robią twardą, kruchą”. „Dobrze, komendancie” – odrzekłem – „Zrobię miękka jajecznicę”. Mieliśmy na kuchni taką bardzo grubą patelnię, był też duży stół kuchenny, blaszany, z cynkowanej blachy. Na tym stole położyłem na ścierce, żeby się nie skatulały, jajka i masło. Cebulę obrałem, na deseczce drobniutko skrajałem, noże mieliśmy bardzo ostre. Wziąłem tą patelnię i powiedziałem do komendanta, żeby się dobrze przyglądał, bo takiego sposobu jeszcze chyba nie widział. Postawiłem tą patelnię na ogniu, na blacie kuchennym i obserwowałem ją dokładnie, widząc, że rozgrzała się do odpowiedniej temperatury, szybkim ruchem postawiłem ją na tym blaszonym stole. „A teraz na tym zimnym, blaszanym stole będziemy przyrządzać nasze danie na śniadanie” – powiedziałem. Szybko wrzuciłem masło, troszkę rozdrobnione, na masło dodałem cebulę, to się szybko zaczęło smażyć. Kiedy cebula zaczęła się lekko rumienić, wbiłem jajka, poczekałem moment aż białko się zetnie, rozprowadziłem żółtka (wtedy jajecznica jest bardziej żółta), przyprawiłem pieprzem ziołowym i odrobiną soli. Następnie zsunąłem na jeden bok patelni i wysypałem na przygotowany talerzyk. Powiedziałem mu: „Proszę bardzo i smacznego”. Na talerzyku była mięciutka, żółta, dobrze dosmakowana jajecznica. Był bardzo zaskoczony, „Na zimnym stole smażone jajka! Tutaj jeszcze nikt tak nie robił” – prosił, żeby mu wytłumaczyć, na czym to polega. Wyjaśniłem mu,

że taka gruba patelnia utrzymuje długo ciepło. Część tej najwyższej temperatury pochłania tłuszcz z cebulą, lekko się rumieniąc. Resztę temperatury przyjmuje jajko, które nie potrzebuje wysokiej temperatury, aby ściać białko, które ścina się już powyżej 40 stopni. I wtedy jajecznica jest miękka, a jest smaczna, gdyż cebula i masło lekko przyrumienione daje ten smak. Jednak na zimnym stole można tak robić tylko na takiej grubej patelni, na zwykłych tak się nie da, trzeba temperaturę regulować na ogniu. Jajecznica tylko z dwóch jajek, a tyle papieru i czasu zajęło spisanie tej procedury. I w dodatku narobiło to tyle apetytu.

Znowu dostarczyli dwie beczki dorszy, tym razem kierownik uparł się, że muszą być mielone kotlety, bo tamte co zrobiłem na próbę były bardzo smaczne, no i że będzie to coś nowego. Nie bardzo miałem na to ochotę. Mówiłem kierownikowi, że będzie bardzo ciężko zemleć ręczną maszynką. Kierownik jednak się wziął, że jest was czterech to na zmianę skręcicie. Tak też było, chłopaki narobili sobie pęcherzy na rękach od korby, ale zmęczyliśmy te dorsze. Nasmażyliśmy smacznych kotletów, stołówka nas pochwaliła, nie rzucali kotletami, ale wołali o dokładkę, więc kierownik był zadowolony. Każdy obiad musiał być spróbowany i podpisany przez komendanta. Starszy kucharz albo kierownik zanosili komendantowi próbkę obiadu. Była to zawsze taka próbka, że komendant nie musiał się śpieszyć do domu na obiad. Tym razem kierownik zaniósł próbkę, wziął dwa kotlety, komendant też pochwalił, że są bardzo smaczne i że kuchnia się poprawiła. Chłopaki jednak powiedzieli, że więcej ręcznie kręcić nie będą. Tak się też złożyło, że więcej nie trzeba było kręcić ręcznie.

Jest takie powiedzenie, że „nie ma takiego złego, które by na dobre nie wyszło”. Może na pierwszy rzut oka nie zawsze tak jest, ale w zasadzie często tak bywa. W kuchni był wmontowany w ścianie wysoko duży

wentylator elektryczny. Któregoś dnia jastrząb gonił gołębia, gołąb chyba chciał się schronić w tym otworze, gdzie był wentylator (tak należałoby z tego wydarzenia wnioskować) i obaj wielkim pędem przebili się obok silnika i wpadli w skrzydła wentylatora. A że wentylator był na chodzie, więc wszystkie skrzydełka wentylatora obłamały się. Był to odlew z cynku, została na osi silnika tylko piasta od skrzydełek. Zaraz postawiłem tam drabinę, odkręciłem osłonę z siatki, wyjąłem trochę „mielonego” z piórami i skrzydełkami wentylatora. Kierownik zaraz poszedł do warsztatu, zgłosił co się stało. Nie chcieli uwierzyć, że to dzięki ptakom. Przyszło jakichś dwóch i komendant. Obejrzeliby to mielone i uwierzyli. Powiedzieli, że zaraz przyniosą drugi wentylator. Wziąłem komendanta i kierownika na bok i powiedziałem im, żeby koniecznie zostawili ten połamany wentylator. Że to jest dobry silnik i ja go zamontuję do maszynki do mięsa i nie będziemy musieli kręcić rękami. Któryś odpowiedział: „Jak ty to zrobisz?”. Powiedziałem: „Moja w tym głowa, mam pomysł i zrobię, tylko postarajcie się, żeby ten silnik został”. Ci dwaj poszli do warsztatu po drugi wentylator. W międzyczasie wymontowałem stary, był to silnik 3-fazowy. Po chwili przynieśli nowy wentylator o nieco innym kształcie, ale w otwór pasował. Zmontowali, podłączyli i wszystko grało. Na ten połamany spisali protokół, że został zezłomowany i kazali odnieść na złom. Na terenie ośrodka był taki zakątek, gdzie składano złom żelaza. To było ogrodzone siatką, bramka była zamknięta na klucz, który był w dyżurce przy bramie. Poprosiłem kierownika, żeby przyniósł klucz do złomiarni, że pójdziemy rozejrzeć się na złomie, że potrzebne mi coś z twardego żelaza, żeby obtoczyć tą piastę na silniku tak, żeby można było założyć pasek. Znaleźliśmy duży, stary pilnik, nadawał się na nóż do toczenia. Przeglądając wzrokiem ten złom, zauważyłem dość głęboko przyłożony złomem stary stojak od szewskiej maszyny do szycia napędzanej nogami. W tym

stojaku było dość duże klinowe koło pasowe. Jak go zobaczyłem, aż krzyknąłem z uciechy: „Kierowniku! Mamy coś fajnego, mamy koło do maszynki!”. Pomógł mi wydestać ten rupieć, bez większego trudu udało się wymontować to koło i dopiero teraz powiedział: „Wreszcie zaskoczyłem! To naprawdę da się zrobić”. Pokazałem mu wgłębienie na pasek i dodałem: „Teraz kierownik musi się postarać o taki pasek klinowy, byle nie za długi, mniej-więcej określiliśmy długość”. „To nie problem” – odpowiedział. Zaraz na drugi dzień przyniósł odpowiedni pasek. Ani się spodziewałem, że tak szybko uda mi się zgromadzić niezbędne części, a najważniejsze było to koło pasowe, dość dobrze zredukowało obroty silnika na maszynkę. Bardzo sprawnie robota mi poszła i do wieczora maszynka była uruchomiona. Na następny dzień, choć nie były w planie, zrobiliśmy mielone z mięsa, żeby dobrze wypróbować maszynkę. I już nie trzeba było kręcić ręcznie. Maszynka sama ładnie się obracała i jedna osoba z przyjemnością wrzucała mięso do gardzieli, a maszynka wypychała dobrze zmieloną masę. To była bardzo duża ulga w pracy. Kierownik aż zawołał komendanta, żeby się pochwalić naszą racjonalizację, bo naprawdę była udana. Trzeba było jednak bardzo uważać na palce, pierwszy pozbył się czubka palca starszy kucharz. Zaraz potem zrobiliśmy tabliczkę z napisem: „UWAGA NA PALCE” i powiesiliśmy naprzeciw maszynki.

Nic też dziwnego, że po tych kilku udanych akcjach, miałem takie chody u komendanta, choćby z tymi odwiedzinami bez ograniczenia. W takiej dobrej atmosferze to i dni szybciej mijały. Chłopcy na sali, na której spali, też mieli ze mną wygodę. Zawsze było coś dobrego do zjedzenia na sali. To racuchy, to pasta z wędzonego dorsza, którego też robiliśmy dla stołówek. To też była nowość, którą wprowadziłem. Już nie będę opisywał tej receptury, szkoda czasu i papieru, i już mi

się śpieszy do domu. I tak te ostatnie miesiące bardzo szybko przeleciały.

Nadeszła wreszcie chwila, a było to 14-go listopada 1953 roku, przyszedł strażnik do kuchni, zapytał o moje nazwisko, kiedy się zgłosiłem, dodał: „Macie się zgłosić do komendanta i to zaraz, ze mną”. I chociaż przeczuwałem, że lada dzień mogę spodziewać się wolności i już na ostatnich odwiedzinach mówiłem, żeby raczej już nie przyjeżdżali, bo może mnie już nie być. Kiedy strażnik przyszedł po mnie zaraz z rana do komendanta, byłem nieco zaskoczony. Właściwie to nie pomyślałem o zwolnieniu. Weszliśmy do komendanta do biura zameldowałem się, siedział za biurkiem i coś pisał, burknął pod nosem: „Dobrze, dobrze”. Dość nieśmiało odezwałem się: „Co tam znowu, obywatelu komendancie, tak zaraz z rana?”. Wreszcie skończył pisać, podniósł głowę i całkiem poważnie, ale i z pewnym zadowoleniem oświadczył: „No, dosyć tego dobrego, od dziś jesteś wolny. Masz tu kartkę do magazynu po cywilne ubranie i jazda do domu. Jak już będziesz gotowy, zgłoś się do mnie po dokumenty”. Poszliśmy ze strażnikiem do magazynu, odebrałem swój worek z ubraniami, pokwitowałem odbiór i strażnik kazał mi iść na swoją salę przebrać się, a on sobie poszedł na dyżurkę. Po doprowadzeniu ubrania do jakiegoś takiego stanu, bo wiadomo, w jakim ono było stanie po trzech latach w worku i kilku transportach z miejsca na miejsce, wreszcie przebrałem się w inne ciuchy. Poszedłem na kuchnię, zdałem kuchenne ubranie kierownikowi. Kierownik wiedział, że wychodzę, ale chłopaki byli bardzo zaskoczeni. Zazdrościli, że już wychodzę, a oni jeszcze zostają. Pożegnałem się ze wszystkimi, obszedłem całą kuchnię, podotykałem niektórego sprzętu. Miałem jakieś bardzo dziwne uczucie, że tak nagle muszę opuścić miejsce pracy, które po prostu lubiłem. Na ostatku podszedłem do kierownika, a on się odezwał: „Widzę, że ci szkoda odchodzić”. Odparłem: „Tak, kierowniku i gdyby to było

jakieś przeniesienie, to byłoby mi naprawdę szkoda odejść, ale że odejście na wolność, to te uczucia muszą ustąpić wyższemu”. Pożegnałem się na koniec z kierownikiem, podziękowałem mu za różne względy, jakimi mnie darzył, za przyjemną współpracę, a on dodał: „Nawzajem, bardzo dobrze się spisałeś, będziemy cię długo pamiętać”.

Komendant miał już gotowe moje dokumenty. Oddał mi dowód osobisty, prawo jazdy, świadectwo zwolnienia i zlecenie na bilet kolejowy. Tu również musiałem podpisać oświadczenie, że podczas całego pobytu w więzieniu nie doznałem żadnych obrażeń ciała i że nie wnoszę żadnych skarg. Podziękowałem komendantowi za dobre traktowanie mnie, pożegnałem się i wyszedłem do głównej bramy. Strażnik sprawdził dokumenty, przeprowadził dość szczegółową rewizję czy czegoś nie wynoszę: listów, grypsów czy czegokolwiek innego. Otworzył bramę i byłem już na wolności. Pierwszym odruchem było czy ktoś za mną nie idzie. Ogarnęło mnie w pierwszej chwili jakieś uczucie bezradności, „co dalej?”. Wcześniej, jeszcze w bramie, zapytałem strażnika, w jakim kierunku mam się udać, żeby dojechać do Bytomia, gdyż w ogóle nie znam tej miejscowości. Pierwsze zajechałem do cici do Bytomia. Po drodze kupiłem nową bieliznę, koszulę. Na nowe ubranie nie było mnie stać, choć z kopalni parę złotych dostałem. U cici wykapałem się, przebrałem w czystą bieliznę, nową koszulę i udałem się do Katowic, do pociągu, który jechał do Bełżca. Mojej najbliższej stacji kolejowej. Tutaj też nie pamiętam, jakim sposobem dostałem się z Bełżca do domu. Tak czy inaczej, prawie sam sobie nie wierząc, byłem już wolny wśród kochającej rodziny. Wdzięczny Bogu, że cały i zdrowy wróciłem do domu. Tak kończą się moje wspomnienia z więzienia.

Nie kończyły się jednak problemy ze służbą wojskową. Po zameldowaniu się, chciano mnie z powrotem wcielić do jednostki w celu odbycia służby

wojskowej. Na szczęście działała już ustawa umożliwiająca reklamowanie przez kopalnię od służby wojskowej pracowników kopalni podlegających służbie wojskowej. W tym czasie było ogromne zapotrzebowanie pracowników przy pracach wydobywczych. Toteż zaledwie kilka dni byłem w domu i z powrotem pojechałem na Śląsk, do Katowic, do brata Gwoźdźcia, który był kierownikiem robót górniczych na kopalni „Wieczerek” (szyb „puławski”). Przy jego pomocy zaraz mnie zatrudniono w tej kopalni. Okazało się, że w tej kopalni u brata Gwoźdźcia pracowało już kilku braci. Kopalnia zaraz wystąpiła o reklamację i na razie z wojskiem miałem spokój. Zamieszkałem u braterstwa Bogackich w Szopienicach i dochodziłem pieszo albo – jak pasowało – to dojeżdżałem kolejką (balkamem) do kopalni „Wieczerek”. Na kopalni nie miałem żadnych problemów dostosowawczych. Wszystkie prace na dole były mi znane, toteż każda praca, jaką mi brat Gwoźdź zlecił, byłem w stanie wykonać, nie musiałem się przyzwyczajać od zera jak nowoprzyjęci. I odtąd po trzech latach różnych zmagania z losem, rozpoczął się nowy etap w moim życiu. Bardziej samodzielny, niemniej bogaty w różne, ale jakże odmienne od poprzednich, wydarzenia tworzące dalszą moją historię życia.

Może jeszcze kilka zdań na temat samych wspomnień. Otóż muszę jeszcze raz podkreślić, że te wspomnienia spisałem po – bez mała – sześćdziesięciu latach, więc na pewno wiele momentów z tego okresu zatarło się w pamięci i nie zdołałem ich odtworzyć. Natomiast te, które udało mi się przywołać i spisać, w niektórych miejscach są mało znaczące i nudne. Stanowią jednak snującą się nić, łączącą całość tych wspomnień. Chociaż szczegóły w tych wspomnieniach są autentyczne, to słowa i tu zbudowane zdania, wyrażające te szczegóły, na pewno nie są autentyczne. Jest to wprost niemożliwe, może niektóre są. Przecież musiałem nadać tym wspomnieniom jakiś, choćby

z pozoru, graficzny czy literacki kształt, żeby to się dało czytać. Przytoczę jeszcze jedno powiedzenie, które mnie poniekąd usprawiedliwia: „nie pchaj się na afisz, jeśli nie potrafisz”. Jest jak najbardziej do mnie stosowne, dlatego jak umiałem i co mogłem, to napisałem, a za wszystkie niedociągnięcia szczerze przepraszam.

Przeżyte lata

Tyle lat minęło, jak strzał z bata,
Lecz jakież to były cudowne lata!
Tyle w nich było trudów i radości
Że aż mnie z tego rozboleły kości.

Chociaż mnie życie nigdy nie pieściło,
Jednak i przyjemnych kilka chwil było.
Najpiękniejsza, jaką Bóg pozwolił mi doznać
To, że w moim życiu dał mi Siebie poznać.

Kiedy w sercu wzbudził to wzniosłe pragnienie,
Aby mu okazać swoje poświęcenie
To były dla mnie najpiękniejsze chwile,
Które będę zawsze wspominał przemile.

Potem były areszty, więzienie też było,
Tym sposobem mnie życie wiele nauczyło.
To mnie nauczyło na Bogu polegać
I o Jego pomoc zawsze się ubiegać.

A Bóg nie poskąpił mi swojej pomocy,
Ja też się starałem, co było w mej mocy.
Aby tak sprawować swoje poświęcenie,
Jak Apostoł pisze: „z bojaźnią i drżeniem”.

I chociaż różnie w moim życiu było,
Raz było przykro, raz było miło.
To jednak zawsze cenne jest życie,
Gdy wypełnione jest tak obficie.

Więc za swe życie dziękuję Bogu
I choć już jestem u życia progu,
Będę się starał tak jeszcze się sprężyć,
Aby w swym biegu jednak zwyciężyć.

J.S.

Moje dzisiejsze spojrzenie na te przeżycia

W ostatnich latach wielokrotnie w rozmowach z niektórymi osobami na ten temat, zadawano mi pytania: czy to było konieczne? Do czego i komu to było potrzebne? Czy służba z bronią była aż takim przestępstwem wobec Boga i prawdy? I co to więzienie mi dało? Przecież można było służyć i myśleć po swojemu i nie przechodzić takiej tułaczki. Nie przeżywać takich niekiedy trudnych chwil, jak w tych wspomnieniach opisałem.

Właśnie do takich zastrzeżeń chcę się odnieść w kilku zdaniach. Chociaż upłynęło prawie 60 lat od tamtych wydarzeń, moje spojrzenie na wiele spraw jest w wielu przypadkach zupełnie inne od tego, jakie było wtedy, gdy miałem dwadzieścia lat. Jednak, jeśli chodzi o odczucia dotyczące zdecydowania się na więzienie, nie zmieniły się.

Wiadomo, że można było inaczej myśleć, co innego robić i może jeszcze co innego mówić. Wiadomo też, że takie zachowanie nazywa się hipokryzją, która na pewno nie przystoi poświęconemu chrześcijaninowi. Myślę, że akurat z tym wielu się zgodzi. Było wielu, którzy tak postąpili i potem nie było ich już wśród nas. Takie postępowanie po prostu degraduje nasz charakter. Są tylko dwie drogi: „Jeśli Baal jest Bogiem, idźcie za nim, a jeśli Pan jest Bogiem, idźcie za nim”. Dwóm panom o różnych interesach nie da się służyć właściwie i szczerze. Komu służymy, tego jesteśmy sługami czy to obłudnie, czy szczerze. Chrześcijanina nie może być stać na obłudną służbę nikomu: ani Bogu, ani szatanowi. Stąd też nie podzielałam takiego spojrzenia na tę sprawę.

Bardzo dobrze, że przez miesiąc byłem w wojsku w mundurze. Tym sposobem mogłem choć trochę

poznać wojsko i co w nim można było zyskać. Jaki wpływ mogło wywrzeć wojsko, a jaki więzienie na ludzi takich, jak my? Otóż w wojsku bez przerwy odbywało się pranie mózgu, szczególnie w czasie komuny, wmuszano niewiarę w Boga, ewolucję, prawie na każdej „prasówce” i inne poniżające człowieka paszkwile. Nielatwo było utrzymać swój umysł w czystym stanie. W więzieniu takiej presji nie było, raczej samo przebywanie w więzieniu, większy wpływ wywierało na uczucia, które przy pomocy Pańskiej łatwiej było utrzymać w odpowiednim stanie, rozwijając charakter. Dezercja też nie jest nigdzie tolerowana. Poświęcamy się Bogu aż do śmierci, to tej umowy nie można przerwać na jakiś czas, aby ją potem odnowić, jeśli w ogóle komuś służymy, tego powinniśmy reprezentować, jeżeli służymy Bogu, to Jego mamy reprezentować. Jak? Służąc w wojsku i ćwicząc się z bronią ku zabijaniu? Ćwicząc różne sposoby do zabijania? Czy tym sposobem reprezentujemy Boga i Jego sprawę? Czy hipokryzja może mieć tu miejsce?

Nasza wiara polega na lojalność wobec Tego, w którego wierzymy. Wątpię w jakikolwiek kompromis. Dlatego nasze odmawianie służby czy służby z bronią, było próbą naszej wierności, czyli lojalności wobec Boga, naszego poświęcenia i zasad sprawiedliwości i miłości, które przyjęliśmy. Postąpienie inaczej byłoby albo hipokryzją, albo dezercją w poświęceniu. Odpowiem jeszcze na ostatnie pytanie: „Co więzienie mi dało?”. Zaraz na wstępie muszę wyraźnie odpowiedzieć: bardzo dużo! Pokrótkie wyjaśnię, co i w jaki sposób.

Po pierwsze, zachowałem w spokoju moje sumienie. Nie naraziłem go na żaden gwałt czy przez hipokryzję, czy dezercję. Po drugie, na pewno była to jakaś próba wierności moim przekonaniom, którą – mam nadzieję – lepiej czy gorzej zdałem. Na pewno nie była to próba zwycięstwa, mogę powiedzieć, że była to próba wstępna. Bardzo zmienne warunki, jakie przechodziłem, pozwoliły mi dogłębnie odczuć

nieustanną troskliwą opatrność Bożą na każdym kroku, która utwierdziła mnie, że swoje dalsze prawie że 60 lat byłem w stanie polegać na niej. Następnie, jak można zauważyć z opisanych wspomnień, mój charakter był bardzo porywczy (takim jest do dzisiaj). Właśnie w więzieniu można go było w dużej mierze utemperować albo zauważyć potrzebę tego. Wielokrotnie trzeba było wołać: cierpliwości! Wielokrotnie też trzeba było pokornie spuścić oczy na dół i pogodzić się z niektórymi sprawami. Często trzeba było wyrazić w duszy: „odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią”. Czasowe przebywanie z dziesiątkami ludzi o tyluż samo różnych charakterach wymagało właśnie czujnej samoobrony. Co dla mojego charakteru było bezcenne i wojsko tego by mnie nie nauczyło. To by było tyle, jeśli chodzi o duchowe korzyści. A doczesne korzyści? Nie sposób byłoby je wymieniać. Zapoznałem się z bardzo wieloma rzeczami, pracami, praktycznie i teoretycznie, które bardzo często w życiu wykorzystywałem.

A tak już całkiem na marginesie, choćby to, że nauczyłem się dobrze gotować, co przydaje mi się do obecnej chwili.